NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok V. **Kraków, 12 września 1908.** **Nr. 37.**

Zajście na pograniczu.

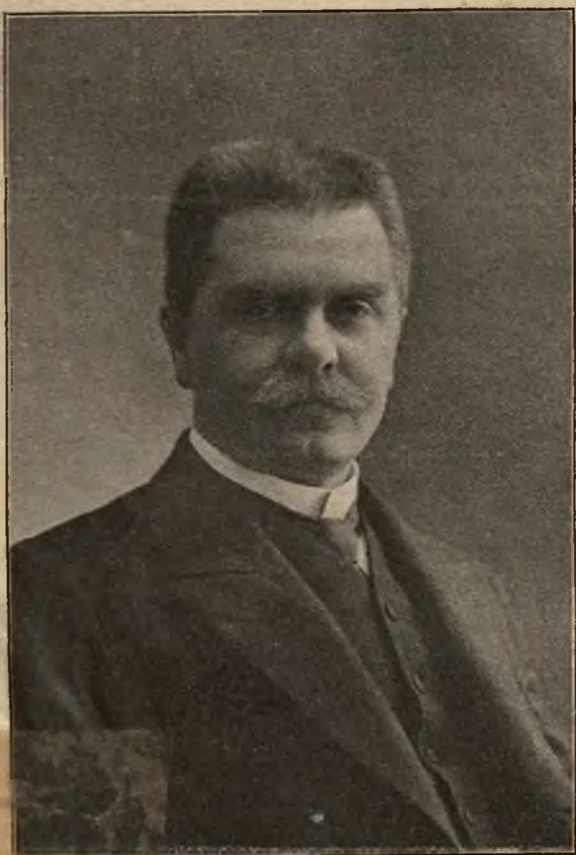
(Treść na str. 2).



Zajście na pograniczu.

(Do illustracyi tytułowej).

Życie na pograniczu przedstawia wielką rozmaitość a straż pograniczna, czatująca pilnie nad powierzonym sobie pasem granicznym, znajduje się w ciągłem niejako pogotowiu wojennem, gdyż przemytnicy wyczekują tylko sposobności, aby módz przedostać się poza słupy graniczne. Nie obejdzie się przytem nieraz i bez ofiar w ludziach, gdyż o-



Kierownik krakowskiej Akademii handlowej: Dyrektor dr. Józef Kannenberg.

bie strony „walczące“ postępują z bezwzględnością, jak w czasie prawdziwej wojny. Nie ma się i czemu dziwić, bo w inny sposób żołnierze pograniczni nie daliby sobie rady z coraz bardziej rozwijającem się przemytnictwem. Przemytnicy, „ludzie zdeterminowani“, wiedzą także, że pardonu spodziewać się nie mogą, więc i oni, w obronie swego życia i wolności, nie wahają się w krytycznej chwili użyć broni.

W dniu 1. września b. r. szeregowiec straży pogranicznej aleksandrowskiej, Nikifor Czernyszew, eskortował z komory celnej za kordon przytrzymaną kontrabandzistkę Franciszkę Prochocką z Ciechocinka wraz z jej towarzyszem Świtalskim. W drodze pozwolił żołnierz aresztantom wstąpić do przydrożnej karczmy. Korzystając z odwróconej uwagi eskorty, Prochocka i Świtalski rozpoczęli uciekać w stronę granicy; po chwili wybiegł za nimi z oberży Czernyszew, a widząc, że ich dogonić nie zdoła, rozpoczął strzelać ze swego służbowego karabinu. Skutek był fatalny. Pierwszą ofiarą był niewinny przechodzień Bronisław Wojdyło, liczący lat 13, który padł trupem na miejscu, drugą uciekający Świtalski, który odniósł rany w brzuch, rękę i nogi. Odwieziono go natychmiast do szpitala we Włocławku, gdzie w kilka godzin zakończył w męczarniach życie. Prócz tego zraniły kule dwu przechodzących mieszkańców Aleksandrowa. Przechodzący tamtędy przypadkiem strażnik ziemski, przy pomocy kilku przechodniów rozbroił żołnierza i zapobiegł dalszemu rozlewowi krwi.

Kierownik krakowskiej Akademii handlowej.

Krakowska wyższa szkoła handlowa, która dotychczas jeszcze, mimo usilnych starań gminy i Izby handlowej i przemysłowej, nie może się doczekać upaństwowienia, uzyskała z nowym rokiem szkolnym tytuł akademii, a jej kierownik, dyrektor dr. Kannenberg, został przyjęty na etat państwowy ministeryum oświaty. Jest to bodaj częściowe zadośćuczynienie słusznym żądaniom gminy i spodziewać się należy, iż zupełne upaństwowienie tej poważnej instytucyi naukowej jest już kwestyą bardzo niedługiego czasu.

Dyrektor Kannenberg sprawuje obowiązki kierownika akademii już od lat dwu, dotąd jednak tylko w charakterze prowizorycznego kierownika. Obecne rozporządzenie ministeryalne stabilizuje go na stanowisku dyrektora akademii.

Wiadomość tę przyjęto w Krakowie z dużem zadowoleniem, zarówno ze względu na zasadniczą sprawę podniesienia charakteru instytucyi, jak ze względu na osobę jej dyrektora, znanego w Krakowie i cenionego z powodu zalet umysłu i serca.

Dyrektor Kannenberg, urodzony 1862 r., ukończył gimnazyum w Brodach, a następnie wydział filozoficzny uniwersytetu lwowskiego. Poświęciwszy się zawodowi pedagogicznemu, pracował w Stryju i w Krakowie, jako nauczyciel gimnazyalny, poczem powołany został na dyrektora gimnazyum w Bochni. Wnet potem jednak, bo już w r. 1906, otrzymał stanowisko kierownika wyższej szkoły handlowej w Krakowie, a obecnie akademii handlowej.



Wystawa w Jarosławiu: Pawilon z kramem tow. Szkoły ludowej.



Wystawa w Jarosławiu: Przemówienie ks. Jerzego Czartoryskiego (X) podczas otwarcia wystawy. 1. J. E. Namiestnik dr. Bobrzyński; 2. marszałek hr. St. Badeni; 3. członek wydziału kraj. dr. Jahl; 4. prezes wystawy ks. Witold Czartoryski.

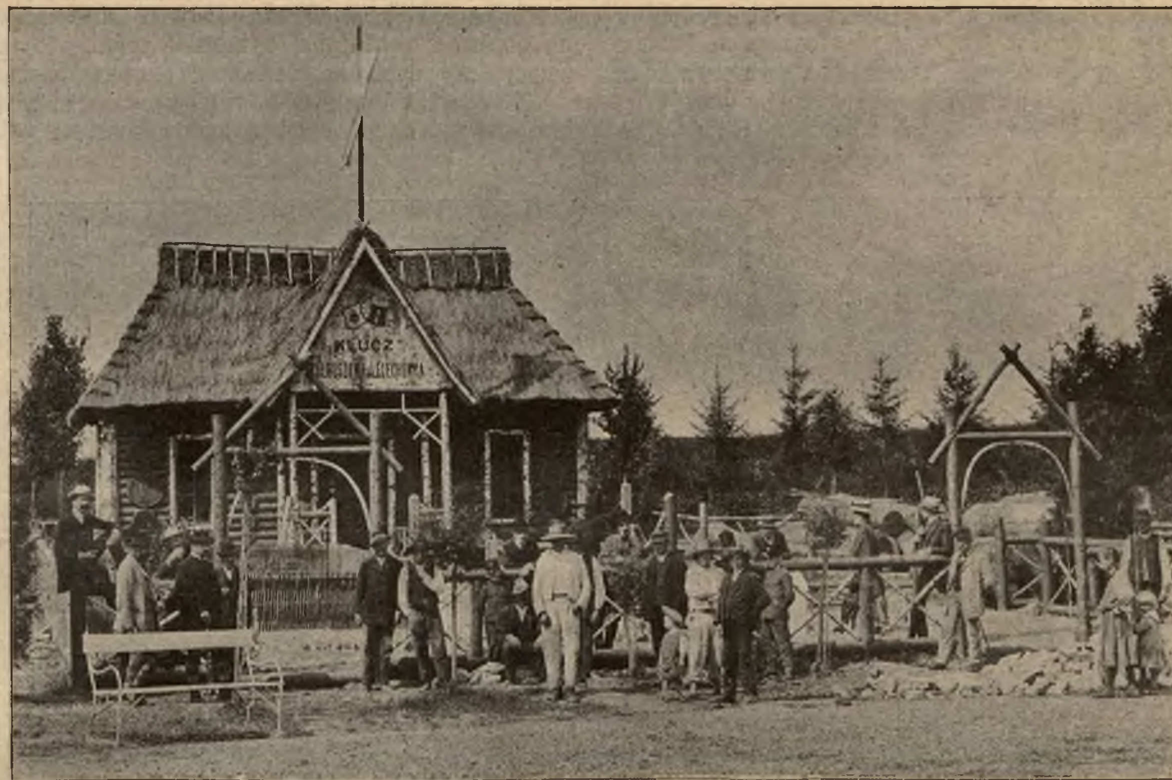
Wystawa w Jarosławiu.

W ubiegłym tygodniu otwartą została w Jarosławiu wystawa przemysłowo-rolnicza, urządzona staraniem miejscowego komitetu oraz Ligi pomocy przemysłowej.

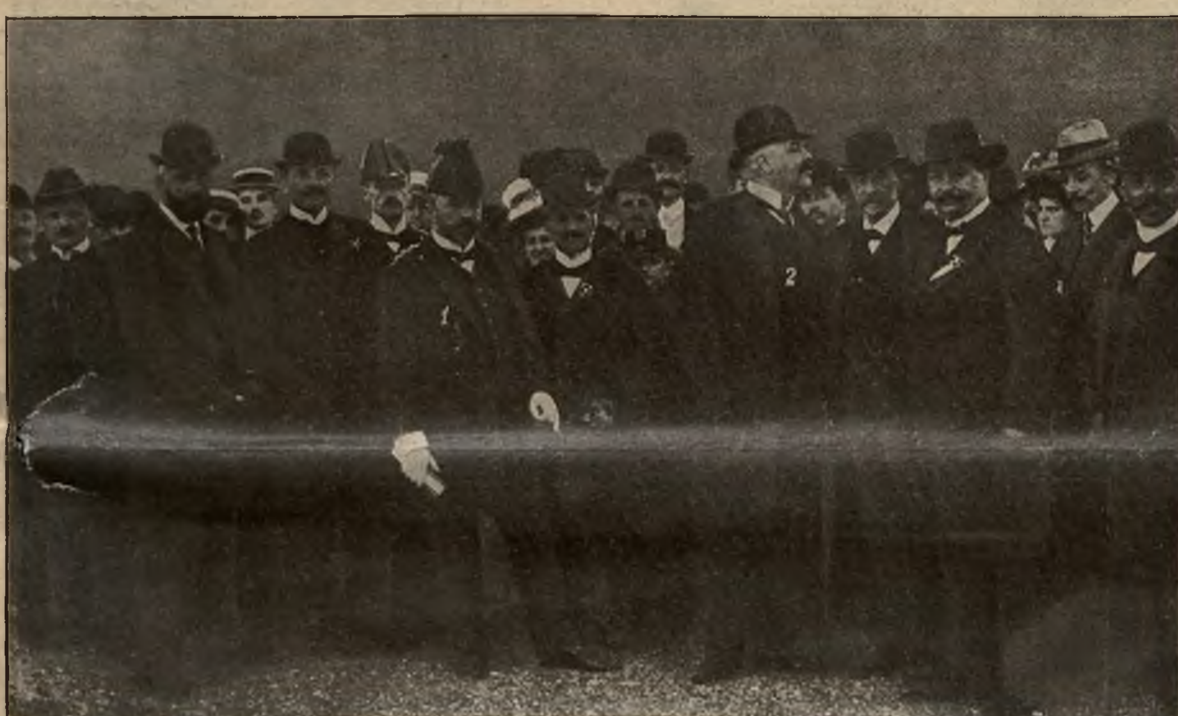
Za urządzeniem wystawy w tem mieście przemawiało kilka poważnych motywów. Jarosław, znane niegdyś miasto handlowe polskie, leży w samem centrum Galicyi, w okolicy jego znajduje się sporo magnackich obszarów, zagospodarowanych wzorowo pod względem rolniczym, również przemysł krajowy rozwija się w tych stronach bardzo pięknie. A że ostatnia wystawa odbyła się w Jarosławiu przed laty trzydziestu, od tego zaś czasu przemysł i rolnictwo wykazały znaczny postęp, przeto należało jak najszersze sfery zaznajomić z tym postępem i tą drogą przyczynić się do dalszego rozwoju.

Wystawa obejmuje wyroby przemysłu i rękodzieł, płody i okazy gospodarstwa rolniczego i sadownictwa, bydło rogate, konie, trzodę chlewną, drób, mleczarstwo i rolnictwo z Galicyi, dalej wyroby przemysłowe i rolnicze ze Śląska, królestwa polskiego i księstwa poznańskiego, wreszcie maszyny przemysłowe i rolnicze bez względu na ich pochodzenie, z wykluczeniem maszyn niemieckich.

Pomieszczono całą wystawę w malowniczym parku jarosławskim Olszanówce. Na terenie tego parku porozrzucano z fantazyą szereg pięknych



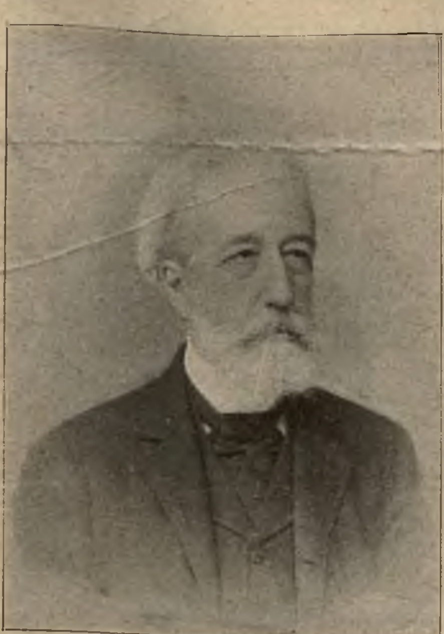
Wystawa w Jarosławiu: Pawilon hr. Janusza i Natalii Tyszkiewiczów.



Wystawa w Jarosławiu: Grupa uczestników uroczystości otwarcia. 1. Namiestnik dr. Bobrzyński; 2. marszałek St. hr. Badeni

pawilonów większych i mniejszych, z pomiędzy których wyróżnia się pawilon przemysłowy, najpiękniejszy i najbogaciej wyposażony. Jest dalej pawilon rolniczy, oddział maszyn, szereg pawilonów prywatnych, między tymi ks. Jerzego Czartoryskiego i hr. Janusza i Natalii Tyszkiewiczów.

Zarówno całość wystawy, jak jej szczegóły, wywierają wrażenie wysoce sympatyczne i dodatnie. Zwłaszcza rolnictwo jest tu bardzo pięknie reprezentowane.



Wystawa w Jarosławiu: Protektor wystawy ks. Jerzy Czartoryski.

Komitet postarał się też o rozrywki dla zwiedzającej publiczności, wznosząc w tym celu pawilon dla muzyki wojskowej, która koncertuje każdego dnia, oraz pawilon teatralny, mogący pomieścić około 600 osób; w pawilonie teatralnym odbywają się przedstawienia kinematograficzne i teatru ludowego ze Lwowa. Uroczystość otwarcia wystawy odbyła się w sobotę 29 sierpnia, przy udziale tłumów publiczności oraz wielu wybitnych osobistości. Przybył więc namiestnik kraju dr. Michał Bobrzyński, marszałek Stanisław hr. Badeni, członek wydziału kraj. dr. Jahl, prezes tow. gospodarskiego p. Stanisław Brykczyński, wielu posłów do rady państwa i na sejm krajowy.

Gości przybyłych na uroczystość, powitał na dworcu prezes komitetu wystawy Witold ks. Czartoryski, poczem ulicami, ozdobionemi zielenią i chorągwiami udano się na plac wystawy, gdzie już zebrała się rada miejska jarosławska, komitet wystawy i delegaci stowarzyszeń. Pierwsze przemówienie wygłosił protektor wystawy, sędziwy ks. Jerzy Czartoryski, witając gości miejscowych i zamiejscowych oraz reprezentantów władz i podnosząc znaczenie wystawy. Imieniem miasta przemówił wiceburmistrz dr. Grabowski, nakoniec ks. Witold Czartoryski odczytał list i błogosławieństwo arcypasterskie ks. arcybiskupa Bilczewskiego, oraz szereg innych depesz i listów, a po krótkiem przemówieniu przeciął czerwono-białą szarfę, zamykającą wstęp na wystawę i wprowadził gości do wnętrza wśród huku wystrzałów moździerzowych.

Wystawa cieszy się wielkiem powodzeniem, a zwiedzają ją każdego dnia tłumy publiczności, nietylko miejscowej ale z całego kraju.



Wystawa w Jarosławiu: Pawilon ks. Jerzego Czartoryskiego.

Delegacya Paryża w Pradze.

Znane są powszechnie sympatye czesko-francuskie. Geneza ich jest może dość dziwna, boć ostatecznie żadne bliższe węzły dwu tych narodów nie łączą, faktem jednak jest, iż sympatye te są bardzo silne i że dość często znajdują dobitny wyraz, zwłaszcza ze strony gorących Czechów.

Świeżo dwa wypadki zaznaczyły przyjaźń francusko-czeską. Jeden, to oddanie dostawy rur wodociągowych dla miasta Pragi fabryce francuskiej, co nawet wywołało wielką burzę polityczną, drugi, to owacyjne powitanie delegacyi miasta Paryża, przybyłej przed paru dniami do Pragi.

Gości francuskich witano z wielką serdecznością już w drodze do Pragi, zwłaszcza w Pilznie, a potem w Smichowie. Tłumnie na dworcach miast większych zebrana publiczność wznosiła okrzyki na cześć gości i obrzucała ich kwiatami. Od miejsco-



Delegacya Paryża w Pradze: Prezydent rady municypalnej miasta Paryża Cherioux (✳) z burmistrzem Pragi dr. Groszem w powozie przed dworcem kolejowym.

wości Taus towarzyszyli delegatom Paryża zastępcy rady miejskiej i magistratu Pragi, oraz syndyk paryskiej rady municypalnej Gay, który już poprzednio przybył do Pragi.

Do Pragi przybyli goście w piątek wieczorem, pod przewodnictwem prezydenta Cherioux. Na dworcu Franciszka Józefa zebrała się na chwilę przed przybyciem pociągu rada miasta Pragi, przedstawiciele francuskiego konsulatu oraz delegacye związków sokolich czeskich, a także nieprzejrzane tłumy publiczności.



Wystawa w Jarosławiu: Dyrektor wystawy Stanisław Gurgul.

Imieniem miasta Pragi przywitał gości burmistrz dr. Grosz, wyrażając radość z powodu możności ponownego ugoszczenia Francuzów. Mowę swą zakończył dr. Grosz okrzykiem „slava“ na cześć gości i miasta Paryża. Za serdeczne, owacyjne przyjęcie podziękował imieniem przybyłych prezydent Cherioux, kończąc słowami: „Niech żyją Czechy, niech żyje czeska Praga! Sława Czechom!“ Powitał też gości przedstawiciel komitetu wystawy jubileuszowej, poczem odwieziono Francuzów powozami do hotelu. W drodze wznosiła ludność, która gęsto obsadziła ulice miasta, owacyjne okrzyki.

Także i w ciągu następnych dwu dni pobytu gości paryskich w Pradze ludność nie szczędziła im objawów serdecznej sympatyi, manifestując równocześnie dobitnie nienawiść przeciw Niemcom.

Z tego też powodu, gdy pisma czeskie z wielkim entuzyazmem opisują każdy moment pobytu Francuzów w Pradze i wyrażają radość z powodu owacyi na ich cześć, pisma niemieckie pienią się ze złości i w bardzo ostrych słowach atakują Czechów za ich politykę antiniemiecką.

Zjazd dyplomatów w Salzburgu.

W powodzi politycznych zjazdów, jakie w ostatnich czasach odbyły się w Europie, przyszła kolej i na zjazd obu kierowników polityki zagranicznej Austryi i Włoch. Na zjazd ten, tem baczniejszą zwrócono uwagę, ile że jest powszechnie wiadomą rzeczą, że stosunki między Wiedniem i Kwirynałem dosyć są niewyraźne, z drugiej zaś strony, że p. Tittoni jest jednym z najwybitniejszych i najwymowniejszych rzeczników polityki trójprzymierza. Austryacka dyplomacya obdarza też tego męża stanu zupełnem zaufaniem i sympatyą.

Powszechnie przypuszczają, że podczas obecnej konferencyi, która miała bardzo serdeczny charakter, omówione zostało całe położenie polityczne, a przedewszystkiem ten stan rzeczy, jaki wytworzył się pod wpływem wydarzeń w Turcyi. Także zastanawiano się nad tem, w jaki sposób król włoski ma złożyć cesarzowi Franciszkowi Józefowi w specyalnie uroczysty sposób życzenia z okazyi jubileuszu, gdyż z powodu polityki watykańskiej, cesarz Franciszek Józef nie odwiedza Rzymu, a tem samem król Wiktor Emanuel nie może przekroczyć granic Austryi.

W dniu 4 września b. r. zawitał włoski minister spraw zagranicznych Tittoni w towarzystwie rodziny do Salzburga i zamieszkał w hotelu Europejskim. W jego towarzystwie znajdował się i szef gabinetu, margrabia Cavignano. W godzinę potem przybył baron Aehrenthal wraz z posłem Gagarnem i udał się natychmiast po przyjeździe do Tittoniego, aby go zaprosić na obiad do swych apartamentów. Następnego dnia po śniadaniu, wydanem przez bar. Aehrenthala, w którem wzięła udział rodzina Tittoniego, margr. Cavignano i hr. Gagern, przeszli obaj ministrowie do apartamentów bar. Aehrenthala, gdzie odbyli trzygodzinną



Wystawa w Jarosławiu: Prezes komitetu ks. Witold Czartoryski.

konferencyę, po której przedsięwzięli trzygodzinną przejażdżkę po mieście.

Po powrocie z przejażdżki przyjął p. Tittoni reprezentantów prasy, wyrażając radość z powodu serdecznego przyjęcia oraz sympatycznych głosów prasy o zjeździe.



Zjazd dyplomatów w Salzburgu: Przywitanie się ministrów Tittoniego (✕) i Aerenthala (✕✕) przed hotelem europejskim w Salzburgu.

Tajemnice wielkiego świata.

POWIEŚĆ.

Napisał Czesław Radomski.

13 CZĘŚĆ DRUGA. (Ciąg dalszy).

Korf posunął ku niej leżący na stole plik aktów Wielohradzkiego i dodał:

— Uważam za rzecz właściwą i konieczną położyć tamę wybrykom wiecznej młodości hrabiego, nie chcę jednak, aby dziś lub kiedykolwiek ojciec twój stał się zależnym od twego męża. Niech tobie jednej zobowiązanym zostanie... nikomu więcej! Oto są papiery, odnoszące się do wszystkich interesów, jakie kiedykolwiek prowadził. Stajesz się jego jedynym wierzycielem.

— Co mam z niemi zrobić? — rzekła Zofia wzruszona.

— Nic. Poprostu zachowasz je u siebie. Hrabia dowie się odemnie, że musi uszanować twój spokój. Położenie jego zresztą będzie bardzo zadawalniające, wyznaczam mu bowiem pewien stały procent z rocznych dochodów mego banku. Nie ośmieli się już nachodzić cię, jak to uczynił niedawno...

— Wiesz o tem?

— Wiem... i nudzić cię sprawami pieniężnemi, o których nie masz pojęcia, bo przedewszystkiem są ci niemiłe... Co zaś do nas, nie będziemy o nich mówić wcale.

— Postępujesz jak prawdziwy szlachcic — szepnęła Zofia zakłopotana — nie wiem, jak mam ci podziękować...

On ucałował jej rękę i wyszedł.

Młoda kobieta dłuższy czas nie mogła poruszyć się z miejsca, zahypnotyzowana widokiem aktów przed nią leżących, a zarazem przygnębiona wspaniałomyślnością męża. Nie imponowała jej ofiara milionowa, lecz raczej delikatność, z jaką uczynił ją niezależną, dając przewagę nad ojcem utracyuszem. Chociaż nie miała żadnego doświadczenia w interesach, nieraz już truchlała myśląc, że hrabia, pozbawiony środków do wykwintnego i zbytkownego życia, złącze się powtórnie w mętne spekulacye i przez nie popadnie znowu w ciężkie kłopoty. Poczem przyjdzie ją błagać, by dla niego wymodliła pomoc u barona.

Korf, dla którego akta Wielohradzkiego mogły w przyszłości stanowić skuteczną broń, chroniącą go od wyzysku, dobrowolnie wypuszczał ją z ręki, wierny przyrzeczeniu, że tylko sercem zdobędzie miłość żony...

Nieszczęśliwa czuła się tym czynem przykutą do niego na zawsze. Pomimo, że ani na chwilę nie opuszczająca jej umysłu wizya chorego, leżącego w ogródku na przedmieściu, ciągnęła ją ku sobie całą potęgą niepokoju o życie i zdrowie umiłowanego, w ciągu kilkunastu dni z rzędu nie śmiała wyruszyć z domu, by udać się na Pragę i ujrzeć go choćby z daleka, choćby tylko przez szpary parkanu.

Wybladła, o melancholijnym wyrazie twarz Zygmunta, przesuwała się jednak wciąż przed jej oczami. Zrozumiała, że zrezygnowany zgodził się cierpieć w milczeniu, żeby nie zakłócać jej spokoju. Prawdopodobnie dowiedział się z dzienników o jej małżeństwie i w chwili właśnie, gdy ślub się odbywał, owładnięty momentalnym szałem, chociaż już prawie z ran wyleczony, przybiegł do kościoła Św. Józefa, gdzie wzruszenie i rozpacz o mało go nie zabiły...

Dwadzieścia razy dziennie siadała Zofia do napisania listu, w którym chciała mu wytłomaczyć swoje postępowanie, lecz za każdym razem list zaczęty darła lub paliła, a niepokonane pragnienie zobaczenia Zygmunta przyprawiało ją o ból serca nieznośny.

Pewnego dnia nareszcie, niezdolna walczyć z sobą dłużej, postanowiła pójść na Pragę. Przed wyjściem uprzedziła męża, że powróci późno.

— Jeśli idziesz wspomagać potrzebujących — odparł ze zwykłą uprzejmością — nie żałuj pieniędzy, bo w tych dniach zrobiłem bardzo korzystny interes, który pozwala ci być szczodrą.

Zaraz po dwunastej w południe znalazła się już Zofia na Pradze. Powzięła szalony zamiar: chciała przez jednego z sąsiadów wywołać Protazego z dworka i zapytać go, czy Zygmunt może ją przyjąć. Uprzedzającego o tem listu do ukochanego nie napisała, mniemała bowiem, że najwymowniej nawet nakreślona ćwiartka papieru nie objaśni go należycie o wszystkiem, gdy przeciwnie słodkie słowa wleją balsam ukojenia w rozżalone serce. Namówi go, żeby się poświęcił, jak ona się poświęca... uspokoi, podniesie na duchu.

Gdy stanęła przed dworkiem, spotkała ją niemiła niespodzianka. Wszystkie drzwi były zamknięte... Zbliżyła się do parkanu i całą swą postać uniosła nieco w górę na palcach, żeby zajrzeć do ogródka. Ujrzała ścieżki nie wygracowane; trawę, kwiaty i krzewiny rosnące jak Bóg dał. Nie znać na nich było pielęgnującej je ręki... Wpośród licznego szeregu doniczek, stojących pod ścianą południową, brakło krzaku róży bengalskiej. Przytłoczona ciężarem niepewności, oparła się Zofia o parkan i rozpłakała. Po chwili jednak owładnęła wzruszeniem i postanowiła wreszcie zadzwonić.

Drut, wiszący u drzwi wchodowych, szarpnięty jej ręką kilkakrotnie, drgał wprawdzie i szeleściał, lecz nie dzwonił. Z dworku obok wyszła kobieta w podeszłym wieku, nędznie odziana i zwróciwszy się do Zofii, rzekła:

— Oni proszę panienki wyjechali.

— A! — odpowiedziała Zofia, starając się głosowi swemu nadać ton bezwzględnej obojętności. — Czy nie wie pani dokąd?

— Nie wiem. Nikt tu prawie ich nie znał, bo chociaż panicz nie był dumny i kłaniał się ludziom grzecznie, nigdy jednak z nikim w rozmowę się nie wdawał, a starsza pani nadymała się jak paw jaki i pogardzała nami biedakami. Kucharka niemowa; zaś stary sługa mruk, jakich mało, gwarzył jeno czasem z rybakami, nigdy przecież o swoich chlebodawcach...

— Wynieśli się pewno, żeby ranny miał ulgę w chorobie? — pytała Zofia drżąca.

— Może być proszę panienki. Tak, tak, słyszałam nawet, gdy wyjeżdżali, jak doktór mówił, że zmiana powietrza ma go do krzty wyleczyć... Jednakże bardzo bledziuchny był jeszcze, moja panienko.

— Czy w tutejszej dzielnicy nie wie kto, jaki jest ich nowy adres?

— O nie!... Za nic w świecie nie daliby go nikomu, bo powiadam, że mruki wszyscy i znajomości na Pradze żadnych nie mieli. Przecie codzień patrzyłam i słuchałam, więc wiem dobrze... Jeśli jednak panienka przyszła z rachunkiem po swoją należność, to bać się nie trzeba. Oni sami się zgłoszą, bo już co uczciwi, to uczciwi! Wszystkim gotówką płacą... nikogo na grosz nie zarwali!

Zofia wróciła do domu zrozpaczona. Trudziła się napróżno.

IV.

Szczęśliwy ojciec.

Znużona i z sił wyczerpana położyła się w małym saloniku na kanapie. Korf, który przyszedł ją zawiadomić, że już wazę podano, zauważył, że ma trochę gorączki. Chciał posłać po domowego lekarza, lecz Zofia nie zgodziła się na to. Myślała sobie: „Co mi lekarz pomódz może?"

Wieczorem stan jej zdrowia pogorszył się znacznie. Odczuwała nietylko przygnębienie moralne, lecz także pewną fizyczną ociężałość, nad którą, pomimo energicznych usiłowań, zapanować nie zdołała... Mąż odprowadził ją do sypialni, a panna służąca rozebrała i położyła do łóżka. Nie miała obecnie żadnego innego pragnienia, jak tylko leżeć i w spoczynku zapomnieć o wszystkiem.

W nocy spała źle. Sen jej przerywały kilkakrotnie duszności i spazmy. Zrywała się kiedy niekiedy z łóżka cała drżąca. Nie chciała jednak zadzwonić na pokojową, bo była pewna, że ta weźwie do niej męża. Usnęła dopiero nad ranem, lecz już w godzinę potem zbudziła ją ciężka duszność w piersi. Od miesiąca miewała dość częste palpitacye serca; zauważyła nawet, że ciało jej przybierało nieco odmienne od zwykłych kształty, nie dziwiło to jej jednak, bo przecież, gdy dusza chora i ciało cierpieć musi. Nigdy jednak nie czuła się zgnębioną do tego stopnia, jak obecnie.

Baron przyszedł około dziewiątej dowiedzieć się, jak się miewa i stanem jej zaniepokoił się mocno.

— Pozwolisz mi moja droga — rzekł baron — zawezwać doktora Michała Marczaka. Jest to lekarz wprawdzie jeszcze młody, lecz już bardzo ceniony w Warszawie, ja zaś w szczególności pokładam wielką ufność w jego wiedzy i niepospolitych zdolnościach.

Zofię przejęły nagłe dreszcze.

— Nie ulega wątpliwości, że masz gorączkę — mówił Korf dalej — trzęsiesz się cała... Śliczna twoja rączka jak żar rozpalona... Sądzę, że Marczak swoim zwyczajem wymyślać będzie na Warszawę, której nie lubi i każe nam wyjechać na wieś, albo zagranicę. Potrzebujesz widocznie odetchnąć świeżem powietrzem pól i lasów... Wszakże mnie upoważniasz, abym posłał zaraz po doktora?

Zofia skinęła głową na zgodę.

I ona, chociaż nie znała Marczaka, miała w nim ufność, wiedziała bowiem, że to przyjaciel Zygmunta. Milcząc myślała: „Gdybym ośmieliła się zapytać go o niego, dowiedziałabym się może nareszcie, co się dzieje z moim ukochanym i gdzie teraz przebywa".

Pod wieczór Korf przyprowadził doktora do tak zwanego „dziewiczego" pokoiku żony. Podaniem ręki powitała go Zofia uprzejmie. Lękała się nieco, czy jej nie pozna, bo może Zygmunt odkrył przed nim tajemnicę swojej miłości, lecz wkrótce wyczytała w jego spokojnym wzroku, że umiłowany nie mówił z druhem o niej wcale. Zrozumiała, że jest dla lekarza tylko zwyczajną chorą, jak wszystkie inne, do których go wzywają.

Marczak z właściwym sobie trochę rubasznym humorem rozpoczął badanie.

— Co to ma znaczyć? Taka młoda mężateczka, a już mężowi chce sprawić przykrość, leżąc na taki piękny czas w łóżku?!

Przytem trzymał ją za puls i wpatrywał się w jej oczy, żartobliwie pytając o rozmaite rzeczy. Nadto niby od niechcenia przyglądał się jej kibici i łonu, uwydatniającemu się dość wyraźnie pod batystową koszulą.

Wreszcie roześmiał się głośno.

— Niema czem niepokoić się dzisiaj — rzekł, zwracając się do barona. — Winszuję, winszuję! To się nazywa szybko zabrać się do rzeczy...

— Nie rozumiem pana — szepnęła Zofia rumieńcem oblana.

— Ba! — odparł Marczak — bo pani jeszcze nie nabrała potrzebnego doświadczenia! Ale i doświadczenie przyjdzie z czasem... No, no! nieco starań niezbyt nużących, chociaż bacznych, wystarczy jak na teraz zupełnie... Przytem radzę wyjechać z miasta. Warszawa niewiele warta dla młodych matek... Pomówimy o tem z mężem pani.

Protekcyonalnie poklepał barona Korfa po ramieniu.

— Szczęśliwy ojciec z barona!... Ale, ale, co się panu stało? Czy to radość wprawia go w febryczne drżenie?... Nie trzęś się, tylko ucałuj żonę! To robią zwykle młodzi mężowie, gdy im lekarz zwiastuje pierwszą dobrą nowinę.

Korf stał osłupiały, zwracając wzrok pełen lęku na doktora. Pytał się siebie: czy ten człowiek, słynący z głębokiej wiedzy, nie myli się w swej dyagnozie, wypowiedzianej tak szybko, wesoło i swobodnie.

Zofia, przerażona, z oczami, w których migotał szał i niepokój naprzemian, skrzyżowała ręce na łonie, jakby bronić i zasłonić je chciała. Lekarz, nie domyślając się niczego, przyglądał się obojgu uważniej, niż przed chwilą. I on, wobec zdziwienia i przestrachu, malującego się w ich oczach, mimowoli w duchu zadawał sam sobie pytanie: czy nie myli się przypadkiem? Lecz nowe badanie rozproszyło wszelkie wątpliwości. Więc rzekł znowu z uśmiechem:

— Nie pozostaje mi nic więcej, jak życzyć państwu pięknego i zdrowego chłopca.

Baron opamiętał się w jednej chwili. Zrozumiał, że gdyby wahał się jeszcze choć minutę, upokarzająca tajemnica jego małżeństwa ujawniłaby się przed Marczakiem, a przez tego może przed całym światem. Pochylił się zatem nad łóżkiem i po raz pierwszy ucałował Zofię w czoło, mówiąc prawie spokojnym głosem:

— Ja zaś życzę ci naprzód córki, żebyś w niej pozyskała godną siebie towarzyszkę.

Zofia zamknęła powieki. Mąż jej tymczasem wyprowadzał doktora z pokoju. Zaledwie pozostała sama, odkryła kołdrę i obłąkanym wzrokiem spoglądała na grubiejące już nieco kształty swojego ciała. Potem jękła:

— Trzeba umrzeć... umrzeć muszę! On mnie zabije... ma do tego prawo!

Korf, panując już nad sobą zupełnie, wprowadził Marczaka do pracowni za oranżeryą. Usprawiedliwiał i tłómaczył mu teraz swoje zdziwienie.

— Czy nie zauważyłeś doktorze, że każdy mąż pewien czas po ślubie widzi w swojej żonie przedewszystkiem tylko dziecko... tylko panienkę? Myśl, że baronowa za kilka miesięcy może zostać matką... powiem ci szczerze... przeraziła mnie w pierwszej chwili. Powiedz mi z łaski swojej, jak dawno zaszła w stan błogosławiony?

— Pyszne pytanie! Wszakże już blisko trzy miesiące upłynęło po waszym ślubie? Czytałem o nim w dziennikach, ale daty ściślej nie przypominam sobie... Zwyciężyłeś widocznie sławny tryumfatorze natychmiast... Więc trzy miesiące... inaczej przecie nie byłbym spostrzegł tak łatwo!

— Trzy miesiące — powtórzył baron znowu mocno wzruszony — tak, tak!... trzy miesiące...

Właśnie dziś upłynęło ośm tygodni, jak Zofia została jego żoną.

Marczak nie zapisał chorej żadnego lekarstwa, zalecił tylko pilną uwagę na jej moralne usposobienie, dużo niemęczącego zbytecznie ruchu i wyjazd z Warszawy. Rozstając się z Korfem, rzekł znowu:

— Raz jeszcze winszuję szczęśliwemu mężowi i wkrótce... szczęśliwemu ojcu.

Poczem zbiegł żwawo po schodach, wsiadł do czekającego nań powozu, aby w dalszym ciągu oddawać wizyty licznym swoim pacyentom.

W pierwszej chwili baron nie śmiał powrócić do żony. Czuł, że gotów jest popełnić jakieś straszne i zgubne w skutkach swych szaleństwo, że wrodzona mu gwałtowność uniesie go i wyprowadzi ze zdobytego siłą woli spokoju. Och, ta kobieta, którą czcił jak świętą!... która tak bezwzględnie i z taką srogością odpychała jego miłość!... należała do innego... do innego! A on uwierzył w niezręcznie ułożoną anegdotę o rywalu, który umarł i któremu ona po jego śmierci wierność dochować pragnie!

— Och, jakiż ze mnie głupiec!... och! i jakiż ja jestem nieszczęśliwy!

Łzy puściły mu się z oczu i uspokoiły nieco... ułagodziły go nawet poniekąd.

Udał się do pokoju Zofii.

Jak wryty, zdjęty przerażeniem, zatrzymał się na progu, ona bowiem stała ubrana w jedną ze swych dawnych, skromnych, panieńskich sukienek i drżącemi od wzruszenia rękami wkładała kapelusz na głowę. Serce mu się ścisnęło gwałtownie na ten widok.

— Co pani robi? — zawołał.

— Byłabym już się oddaliła — odpowiedziała — gdybym nie sądziła, że powinnam czekać na pańskie rozkazy. Wiem, że do niego należę; rozporządzaj mną więc, jak zechcesz. Zabij mnie lub wypędź... Nie mogę dłużej twojego obecnością moją hańbić twojego domu!

Mówiła cicho, zaledwie poruszając zbladłe wargi. Stała nieruchoma, oczekująca na wybuch gniewu barona.

On chwiał się na nogach.

— Zabić cię! Ja miałbym cię zabić?! Ależ ja cię ubóstwiam i na klęczkach chciałbym służyć ci całe życie!... O mój Boże! mój Boże! jaki ja jestem nieszczęśliwy!

Upadł na krzesło i łkał, zakrywszy twarz rękami.

— Zatem żegnam pana. Nie mogę dłużej tu pozostać i narzucać mu ojcostwa dziecka, przyjść mającego na świat... a które nie jest twojem... o istnieniu którego, przysięgam ci, przed chwilą jeszcze nie wiedziałam sama... Jeśli winną jestem względem pana, jeśli cię oszukałam ohydnie, to uczyniłam to, chciej mi wierzyć, z nieświadomością bezwzględną... Żegnam pana!

On powstał i pochwycił ręce Zofii w swoje dłonie.

— Chcesz mnie porzucić?! pozbawić jedynej nadziei, że mogę jeszcze być szczęśliwym?!... Nie, nigdy ci nie pozwolę opuścić mego domu! Zofio! zapomnijmy o wszystkiem, co nas po dziś dzień rozdzielało... i o wszystkiem, co nas kiedykolwiek w przyszłości rozdzielić może... Wszakże przyznajesz się do winy?... Ja zaś bez żadnej złej i ukrytej myśli przebaczam ci całem sercem... Ach! kochaj mnie... nie tak, jak ja ciebie kocham... bo wiem, że to rzecz niemożliwa... lecz tylko z tkliwem poddaniem się, z odrobiną wdzięczności tylko... Kochaj mnie, a dla dziecięcia, które nosisz w swojem łonie, będę zawsze dobrym... będę mu okazywać ojcowskie przywiązanie... Muszę bardzo kochać, jeśli jestem w stanie poniżać się do tego stopnia wobec ciebie!

V.

Matka.

Zofia oburzona, odepchnęła go od siebie.

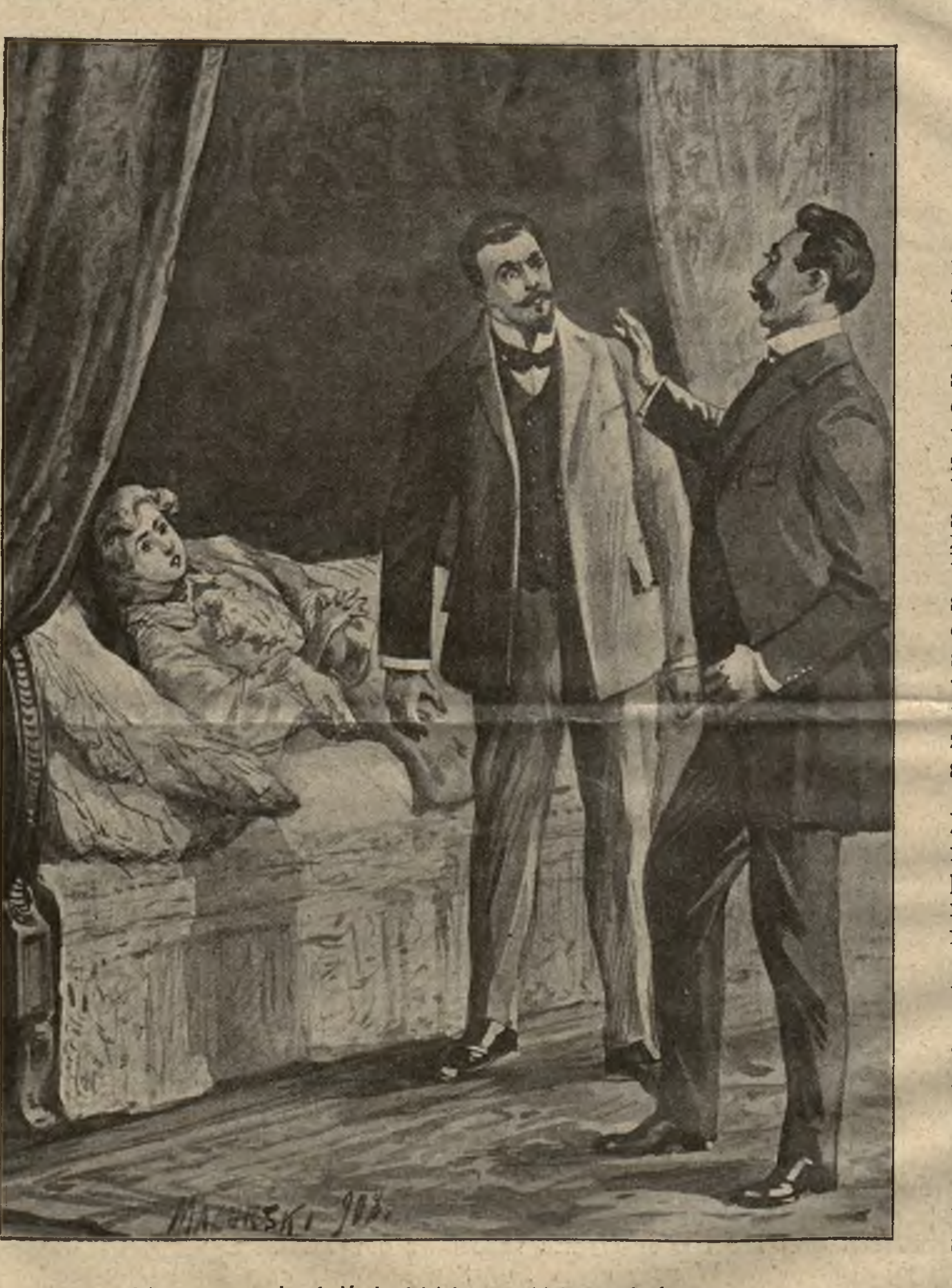
— Nigdy, panie! nigdy! Zabij mnie, bo przyznaję, żem występna... Zażądaj separacyi. Zgodzę się na nią chętnie, przyjmując, jak mi to obowiązek nakazuje, całą winę i odpowiedzialność na siebie... Uczynię wszystko, co zechcesz, tylko siebie samej zbezcześcić nie pozwolę! Jak pan przypuszczać może, że z ramion człowieka, którego kochałam, rzucę się w ramiona...

— Tego, którego nienawidzisz, którym pogardzasz? — przerwał Korf, a oczy jego zapłonęły wściekłością.

— Ja pana nie nienawidzę i nie pogardzam panem. Przyrzekłam ci przyjaźń moją i tę dałam ci uczciwie...

— Tak jak psu rzuca się kość do gryzienia. — Śmiał się szyderczo. Straszliwy gniew nim miotał.

— Jak pani może pod pozorami dziewiczej czystości i niewinności ukrywać tak wielką przewrotność i zepsucie! A ja ci wierzyłem... wierzyłem, że ulegam kaprysowi dziewczęcemu... Kaprysowi, dającemu się usprawiedliwić poniekąd, bo w niezmiernym pośpiechu wydano cię zamąż wbrew twojej woli... bo wydano cię za człowieka, którego nie kochałaś. Człowiek ten zrozumiał, że ma po-



Nie ma czem niepokoić się dzisiaj — rzekł lekarz do barona. —

woli zaskarbiać sobie twoją miłość... Więc czekałem lojalnie, jak pani mówi zwykle, uczciwie. Przez myśl mi nie przeszło, że możesz zapomnieć o swoich obowiązkach. Tak wierzyłem, tak bezwzględnie ci ufałem!... Ale ja byłem tylko dobrym przyjacielem i wygodnym mężem, mogącym przydać się jedynie do wydźwignięcia z nędzy upadłej rodziny i do skąpania jej w mojem złocie! Pani zaś... pani korzystałaś z zupełnej swobody, jaką ci pozostawiłem, żeby kogo innego obdarzać pieszczotą i miłością... miłością, której cień zaledwie wystarczyłby mi do szczęścia!

— Pan nie wierzy w to, co mówisz! Pan temu wierzyć nie możesz! — zawołała Zofia przejęta wstrętem. Nie, nie! nie podobna, abyś nie wierzył mojemu słowu!... Oświadczam, że jeśli jako panna w chwilowym obłędzie, z którego sobie nie zdaję sprawy, zapomniałam o mojej godności osobistej i o tem, co winna jestem memu urodzeniu i nazwisku, jako żona barona Korfa nie mam sobie nic do wyrzucenia. Gdybyś wątpił o tem, wątpliwość pańską uważałabym za swoją obelgę, po której nicby mnie powstrzymać nie zdołało od opuszczenia natychmiast twojego domu!

— Żeby pospieszyć do swego kochanka, nieprawdaż?

— Mego... mego kochanka! — powtórzyła Zofia, boleśnie dotknięta brutalnością jego tonu i wyrazu.

— O! — zawołał Korf, wskazując na kibić młodej kobiety — wszakże nie ja pozostawiłem pani zbyt już teraz widoczny zadatek mojej miłości... tego zaś, który nim panią obdarzył, nie mogę inaczej nazwać, jak twoim kochankiem!... Zresztą zgadzam się na to, że byłaś mi dotąd wierną żoną! Dwa miesiące wierności rzecz niezwykle piękna, uczciwa i rozczulająca!.. Lecz przyznaj, że w chwili właśnie, gdy zgadzałaś się zostać moją żoną, kochałaś innego... i skłamałaś, zapewniając mnie, że umarł!.. Słuchaj, gdy obecnie myślą skołataną zestawiam różne daty z niezbyt odległej przeszłości, nabieram przekonania, że należałaś do niego już w wilię dnia, w którym przyjęłaś mnie w Sielance i wówczas prawdopodobnie zostałaś matką... Boże mój, Boże! więc takie potworności dziać się mogą w waszym świecie! Pojmowałbym błąd podobny, popełniony przez mężatkę, lecz nie przez młodą panienkę z dobrego domu... Miałaś kochanka, a oddałaś mi swoją rękę, bo potrzebowaliście pieniędzy. O, raso przeżyta i skarlała! nie warci jesteście nawet odrobiny litości...

Już nie panował nad sobą. Krzyczał głosem zdławionym i wygrażał pięściami. Ona jąkała zgnębiona:

— Nie mogę odpowiadać panu na zarzuty... bo byś mnie chyba nie zrozumiał...

— A ja rozumiem jedną rzecz tylko obecnie, że między panią a mną stoi jakiś człowiek! Żądasz, żebym ci rozkazywał i oświadczasz, że gotowa jesteś mnie usłuchać, powiedz mi zatem nazwisko tego człowieka, a będę mieć zupełną satysfakcyę. Przysięgam ci, że jeśli mnie on nie położy trupem, to ja go napewno zabiję... Milczysz? Nie śmiesz mi teraz stawić czoła, bo drżysz i lękasz się o niego! Czy sądzisz, że nie obejdę się bez ciebie i nie zdołam go sam wyszukać?! Ależ tydzień nawet nie upłynie, a już będę mógł ci donieść, że kula mego pistoletu przeszyła mu serce...

Zofia podobną była do biednego listka, zerwanego z drzewa i targanego burzą. Nie wątpiła, że Korf przy pomocy Karola odkryje miejsce zamieszkania Zygmunta, którego sama nie potrafiła odnaleść. W jednej chwili zgorączkowana wyobraźnia przedstawiła jej: męża znieważającego ukochanego. Ten zaś pomimo osłabienia, pomimo ran ledwie zagojonych przyjmuje wyzwanie i staje do walki stokroć dla niego niebezpieczniejszej od tej, jaką stoczył z jej bratem. Więc, żeby go obronić — wyobrażała sobie bowiem, że go istotnie chroni od śmierci — ośmieliła się skłamać:

— Nie można pojedynkować się z umarłym. Bądź co bądź pomimo krzywdy, jaką panu mimowolnie wyrządziłam, sądzę, że mam prawo wymagać, abyś nie przedłużał sceny nazbyt dla mnie przykrej. Zmuszasz mnie do powtórzenia, że nie przyzwyczajono mnie do tak grubiańskiego obchodzenia się ze mną i do takich strasznych wybuchów gwałtowności. Oszczędzałeś mnie w ciągu dwóch miesięcy, a ja byłam ci za to wdzięczna... bo jeśli w rzeczy samej mamy jedno przy drugiem spędzić życie całe, to sceny do dzisiejszej podobne nie powinny się ponawiać... Nie mam dość sił do ich znoszenia.

Podniosła nieco ton głosu, który mimo jej woli, stał się lekceważący i niemal pogardliwy. Czuła, że już zniosła za wiele, że dziedziczka wielkiego imienia i starej tradycyi rodzinnej, ofiara szlachetnego poświęcenia, nie może pozwolić na dłuższe znieważanie swojej osoby przez dorobkiewicza, nie umiejącego uszanować kobiety nieszczęśliwej, a zarazem niezdolnego utrzymać w słusznym zresztą gniewie należytej miary. Oczekiwała więc na ostateczny, krańcowy wybuch uniesienia męża, aby wskutek tego uniesienia mieć prawo dom opuścić i porzucić Korfa na zawsze... lecz zmącona myśl barona uczepiła się obecnie wyrazów: „Nie można pojedynkować się z umarłym“.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Na pograniczu.

Nadgraniczne lasy, rzeki i potoki, cały ten długi pas, ciągnący się między Galicyą i Królestwem Polskiem i przedzielający obszary monarchii austryacko-węgierskiej od państwa rosyjskiego — kryje w sobie niejedną tajemnicę i niejeden dramat. Tamtędy bowiem odbywa się pod osłoną cieni nocnych kontrabanda, tamtędy „szwarcują“ przemytnicy towary wszelakiego rodzaju, aby ochronić je przed argusowem okiem nadgranicznych straży celnych i zwolnić od dotkliwych opłat na rzecz skarbu obu państw.

Przemytnictwo takie kwitnie oczywiście na wszystkich granicach, nietylko na granicy austryacko-rosyjskiej. Wszędzie też, gdzie stykają się ze sobą obszary dwu państw, wszędzie, gdzie istnieje linia cłowa, wszędzie tam organizują się osobne oddziały ludzi, poświęcających się wprost zawodowo nielegalnemu transportowi towarów.

A jeśli pas nadgraniczny między Austryą a Rosyą szczególniejszą zwraca na siebie uwagę, jeśli kryje w sobie więcej dramatycznych momentów, to dzieje się to z tego powodu, iż przemytnictwo obejmuje tu nietylko zwykłe towary i wyroby przemysłowe, ale całe transporty tzw. „bibuły“ nielegalnej, więc broszur, czasopism, wydawnictw w cesarstwie rosyjskiem niecenzuralnych, dalej zapasy broni, zwłaszcza browningów, a niejednokrotnie nawet ludzi, tych mianowicie, którzy nie mają papierów w porządku, zwłaszcza paszportów.



Na pograniczu: Straż rządowa na granicy prusko-rosyjskiej.

Stąd też pogranicze to władze szczególniejszą otaczają opieką i bacznie przestrzegają, by nikt ani nic bez ich wiedzy i ich zezwolenia nie przekroczył granicznego pasa. I trzeba istotnie ludzi bardzo w fachu przemytnictwa biegłych, by krytyczne miejsca szczęśliwie przebyć i ujść oczu strażnika.

Mimo to bardzo często wydarza się, iż ciszę nocną przerywają tam odgłosy walki zaciętej i strzałów karabinowych, czy rewolwerowych. Bo skoro strażnik nadgraniczny spostrzeże choćby cień podejrzany, alarmuje zaraz sąsiednie posterunki wystrzałem i wzywa je na pomoc. Czasem alarm taki okazuje się bezpodstawnym, czasem jednak w ręce straży wpadnie istotnie albo pojedynczy przemytnik, albo cały ich oddział. Wiedząc, że surowa kara nie minie ich za udział w kontrabandzie, przemytnicy próbują zawsze ucieczki, a wówczas straż posyła za nimi śmiercionośne kule, próbują też oporu, gdy oddział ich jest silny i uzbrojony, a straż nieliczna. Walki takie toczą się więc dość często i często kończą się śmiercią.



Na pograniczu: Grupa zawodowych przemytników podczas odpoczynku nad granicą.

Wszystko to jest na pograniczu rzeczą zwyczajną, a straszne nieraz wyniki walk między przemytnikami a strażnikami, nie mogą zapobiedz szerzeniu się kontrabandy, która też kwitnie stale i z niesłabnącą siłą. Kilka zdjęć, przedstawiających oddziały straży pogranicznej i grupę przemytników zamieszczamy w dzisiejszym numerze.



Na pograniczu: Oddział przemytników przedostających się przez las graniczny.

Wznowienie się powstania w Persyi.

I znowu niepokojące wieści nadchodzą z Persyi, choć się zdawało, że nastał tam już względny spokój. Przed kilku dniami przybył Nazar es Sultaneh na polecenie szacha do Tebris, głównego gniazda rewolucyonistów, aby odbyć paradę wojskową. Podczas tej parady, gdy wojsko było jeszcze zebrane na placu mustry powstańcy pod dowództwem Satar-Khana, jednego z głównych przywódców partyi parlamentarnej, rozpoczęli ostrzeliwać wojsko, przyczem około 800 ludzi miało zginąć lub też odniosło rany. Od tego czasu walka trwa bezustannie na ulicach miasta. Położenie jest wprost rozpaczliwe, grozi brak środków żywności, gdyż zapasy już się wyczerpały, a dowóz zupełnie ustał.

Straże w mieście wzmocnione, na podwórzu pałacu sprawiedliwości utrzymuje piesza i konna policya ciągłe pogotowie, co jednak nie wiele pomaga. Bogatsi ludzie na gwałt wyjeżdżają z miasta, biedniejsza zaś ludność nie opuszcza mieszkań, bojąc się wychylić na ulicę, gdzie walka wre bez przerwy. Wojsko jest zdemoralizowane i bez dyscypliny, rząd będąc w ciągłych kłopotach pieniężnych zalega z wypłatą żołdu, nic też dziwnego, że żołnierze, aby nie ginąć śmiercią głodową, rabują, co i gdzie się da. Usiłowania rządu perskiego, aby zaciągnąć zagraniczną pożyczkę, spełzły na niczem, ponieważ szach odrzucił żądaną przez mocarstwa kontrolę rządu rosyjskiego, obawiając się, że nie dostanie pieniędzy na rękę.

I z innych okolic Persyi nadchodzą ciągłe wiadomości o wybuchu rozruchów, wobec których rząd jest bezsilny, najgorzej jednak przedstawia się położenie w Tebris, gdzie ludność ogłosiła naczelnikiem miasta Idżal-ul-Mulka, byłego organizatora milicyi ludowej. Poza miastem obozują wojska wierne sułtanowi, oczekując na baterye kozackiej gwardyi teherańskiej, przy której pomocy rozpocznie się „uspokajanie“ zrewoltowanej ludności. Dla kupców miejscowych stosunki te są bardzo zgubne, gdyż jak wiadomo, Tebris jest ogniskiem przemysłu i handlu perskiego, a z powodu rozruchów nastąpiła zupełna stagnacya. Domy handlowe i karawanseraje pozamykano, straty zaś przemysłowców i wielkich handlarzy obliczają już na miliony. I nic też dziwnego, że niezadowolnienie ogólne pośród ludności wzrasta, że ludność, która widzi bezsilność rządu i przekupstwa urzę-

dników z bronią w ręku mści się na rządzie, jako widomym sprawcy swych nieszczęść i niedoli.

Ilustracya nasza przedstawia pieszą i konną policyę biwakującą na podwórzu pałacu sprawiedliwości.



Na pograniczu. Oddział rosyjskiej straży pogranicznej.

Polowanie na krokodyle.

Do największych z istniejących obecnie gadów należą krokodyle, które w wielkiej ilości zamieszkują okolice południowe. Znamy liczne ich odmiany żyjące w Azyi, Afryce i Ameryce, prym jednak między nimi wzięły krokodyle afrykańskie, dochodzące do 7 metrów długości. Potwory te odznaczają się ogromną żarłocznością, są też postrachem nadbrzeżnej ludności, która nawet w starożytności w niektórych okolicach oddawała im cześć boską, w innych zaś niemiłosiernie je tępiła. O ile na lądzie porusza się krokodyl dość ociężale, o tyle we wodzie odznacza się nadzwyczajną zwinnością. Przez cały dzień wygrzewa się na ławicach piaskowych nad Nilem, wieczorem wybiera się dopiero na łowy, czatując ukryty pod powierzchnią wody, na zwierzęta, które przychodzą się poić. Błyskawicznym ruchem rzuca się krokodyl na swą ofiarę, zanurza się z nią pod wodę, aby się udusiła, potem dopiero wypływa na brzeg i tu ją spokojnie pożera. Ofiarą jego stają się często i ludzie, puszczający się nieopatrznie na niebezpieczne fale Nilu. Na lądzie nie napada krokodyl na człowieka, owszem ucieka nawet na widok zbliżających się ludzi.

Nadbrzeżna ludność urządza bardzo często polowania na te potwory, a i nasi europejscy nemrodzi, żądni silniejszych wrażeń, biorą też często udział w tych wyprawach myśliwskich. Swoją drogą, polowanie takie nastręcza wiele trudności, strzał bowiem do krokodyla, pokrytego kostnemi tarczami, jest bardzo niebezpieczny — trzeba trafić koniecznie kulą eksplodującą w głowę lub otwartą paszczę, aby go módz trupem położyć. Zraniony zwierz rzuca się na prześladujących go myśliwych, a wtedy mimo swej ociężałości porusza się bardzo szybko i na lądzie. Jeśli uda się położyć go trupem — radość tubylczej ludności nie ma granic. Zabitego potwora albo preparują, zaraz na miejscu ściągając zeń skórę, albo też przewożą w całości na wielbłądach do miast egipskich, skąd rozsyłają je do gabinetów przyrodniczych całego świata. Wyprawiona skóra krokodyla służy do wyrobu różnych przedmiotów galanteryjnych, z tłuszczu robią smarowidła, w niektórych zaś okolicach spożywają i jego mięso, choć mocno trąci piżmem. W każdym razie polowanie takie się opłaca, więc też krokodyle narażone są na ciągłe prześladowanie i nadejść może czas, że podobnie jak tyle innych okazów naszej fauny, uledz mogą wytępieniu.

Illustracye nasze przedstawiają fotograficzne zdjęcia z polowania na krokodyle w egipskim Sudanie.

Nowa era w Turcyi.

Stan rzeczy w najmłodszem państwie konstytucyjnem nie wiele zmienił się w ciągu ostatnich dni. Wiadomości, jakie stamtąd dochodzą — brzmią mniej więcej tak samo, jak poprzednie. Spokój panuje w całem państwie sułtana, a ludność oddaje się błogiemu używaniu rozkoszy konstytucyjnych.

Ze względu na zmieniony zasadniczo ustrój państwowy, armia turecka musiała zaprzysiądz wierność konstytucyi. Ceremonie zaprzysiężenia odbywają się bardzo uroczyście, przy udziale wysokich dygnitarzy państwowych oraz orkiestr wojskowych, które podczas tego aktu przygrywają narodowe melodye tureckie.

Asystują uroczystym przysięgom także tłumy ludności, chcące jeszcze raz na własne uszy słyszeć potwierdzenie radosnej wieści o rządach konstytucyjnych, a zniesieniu absolutyzmu. Bo ludność ta przywykła od tylu dziesiątek lat do despotyzmu i niewoli, a pierwsza próba wprowadzenia konstytucyonalizmu, 1876 r. podjęta, tak rychło przyniosła rozczarowanie i powrót do dawnego stanu rzeczy, że teraz trudno usunąć niedowierzanie, a wpoić w szerokie masy przekonanie, że konstytucya została na seryo wprowadzoną.

Wprowadzenie konstytucyi ma niemałe znaczenie i dla spraw kościelnych. Dotąd bowiem jedynie uprzywilejowanem wyznaniem był islam, wyznawcy zaś innych religii, zwłaszcza chrześcijanie, niejednokrotnie byli narażeni na prześladowanie i ucisk. Zwłaszcza ludność ormiańska cierpiała bardzo często z tego powodu, a rzezie okrutne porywały w objęcia śmierci setki wiernych. Także duchowieństwo chrześcijańskie narażone było na poniżenia i gwałty, i nieraz wysocy dostojnicy kościelni skazywani bywali na karę wygnania lub więzienie.



Wznowienie się powstania w Persyi: Piesza i konna policya na podwórzu pałacu sprawiedliwości w Tebris.



Egzotyczne poselstwo: Nadzwyczajny poseł maharadży Nepalu Fa-Kazi-Bhyrub- Bahadur.

Pamiętne są jeszcze po dzień dzisiejszy niesłychanie krwawe rzezie, jakich muzułmanie, pod przemożną opieką i protekcyą rządu tureckiego dopuszczali się na ludności chrześcijańskiej.

Straszne te stosunki, które przypominały grozą okrucieństwa czasy średniowieczne, czasy barbarzyńskich prześladowań religijnych, popychały też niejednokrotnie ludność ormiańską, zamieszkującą krainy, podległe berłu sułtana, do rozpaczliwego oporu, do powstań i rewolucyi, które zwykle powodowały jeszcze gorszy rozlew krwi, a następnie reakcyę i nowe prześladowania.

Stan ten trwał przez długie dziesiątki lat. Ile razy doszła do reszty Europy wieść o okrutnych prześladowaniach i rzeziach, dokonywanych na ludności chrześciańskiej czy to w Macedonii, czy w Albanii, czy w Armenii, zawsze mocarstwa europejskie wylewały łzy nad losem ofiar tureckich rządów, zawsze odgrażały się i obiecywały nieszczęsnym pomoc, gdy jednak przyszło do czynu, wówczas zasłaniały się względami wyższej polityki i na platonicznych objawach sympatyi kończyły swą interwencyę.

Nic też dziwnego, że ruch rewolucyjny, który zainicyowała partya młodoturecka, tak szybko rozprzestrzenił się po całem państwie, zyskując zwolenników we wszystkich tych, którzy wskutek istniejącego porządku najdotkliwiej cierpieli, a więc i wśród chrześcijan.

Dziś zmienione będą stosunki i na tem polu. Konstytucya bowiem zapewnia swobodę wyznania także niemahometanom i przyznaje im równe prawa. Wobec tego spodziewać się należy rozwoju i rozrostu chrześcijaństwa w cesarstwie ottomańskiem.

Wśród tych, którzy mimo straszliwych prześladowań wytrwali w wierze ojców i dzielnie wspierali rozwój chrześcijaństwa w obrębie państwa ottomańskiego, złotemi głoskami zapisali swe imiona dwaj zwłaszcza wybitni dygnitarze kościoła ormiańskiego, a mianowicie monsignore Turian, b. ormiański biskup w Smyrnie, oraz monsignore Ismirlian, wygnany ze swej siedziby i powołany następnie do Konstantynopola.

Jak już w poprzednim numerze wspomnieliśmy, uwagę całego prawie oświeconego społeczeństwa tureckiego pochłania dziś w pierwszym rzędzie sprawa zbliżających się wyborów do parlamentu tureckiego.

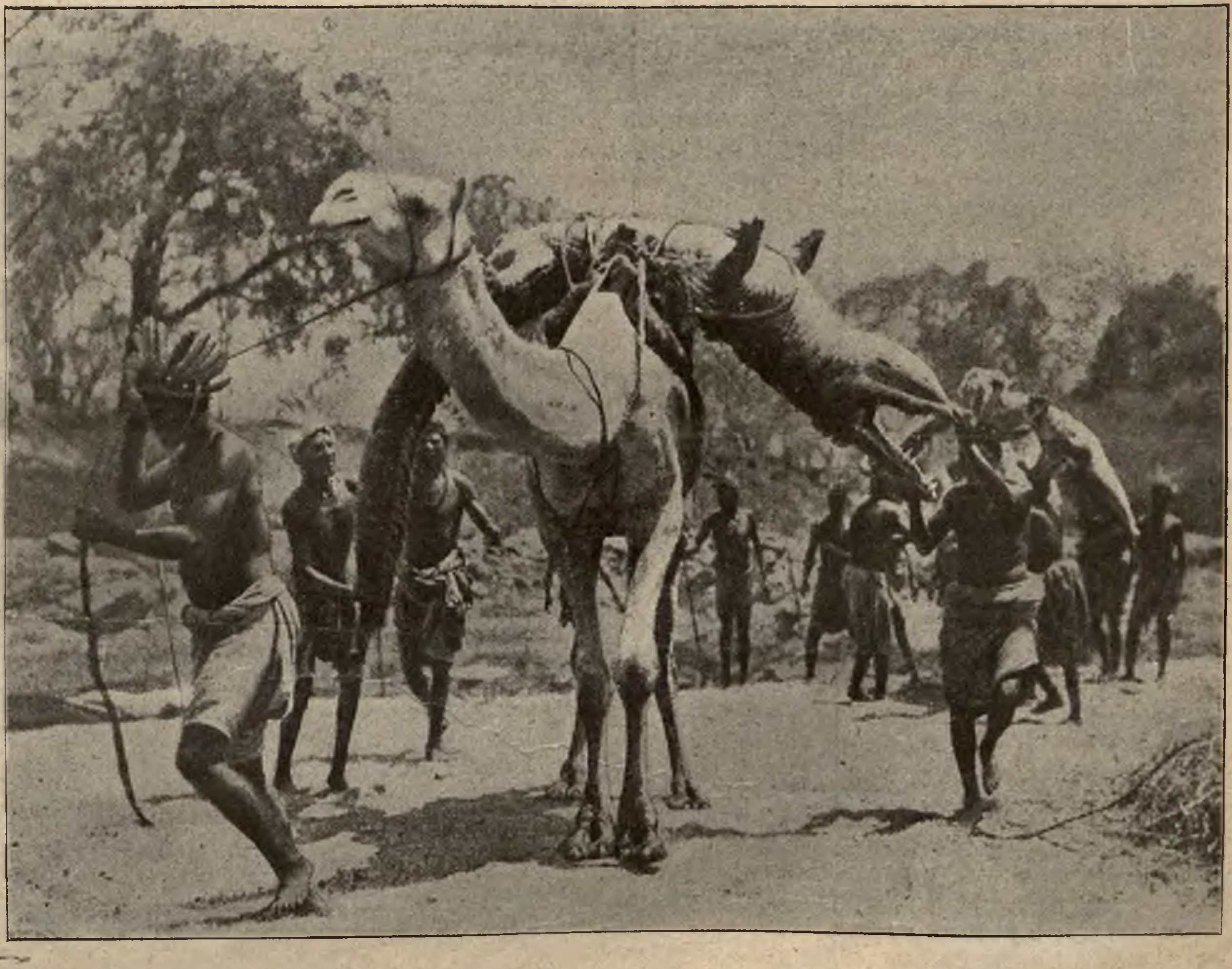
Jaki będzie wynik tych wyborów, jak zda ten egzamin dojrzałości politycznej społeczeństwo tureckie, dziś trudno przewidzieć, zwłaszcza że niewiadomo, jaką w tych wyborach rolę odegra rząd. Na czele jego stoi obecnie Kiamil basza, człowiek już sędziwy, ale też cieszący się wielką w państwie powagą. Znany jest on z prawości charakteru i surowości zasad, przypuszczać też należy, że nie dopuści on do korrupcyi i nielegalności.



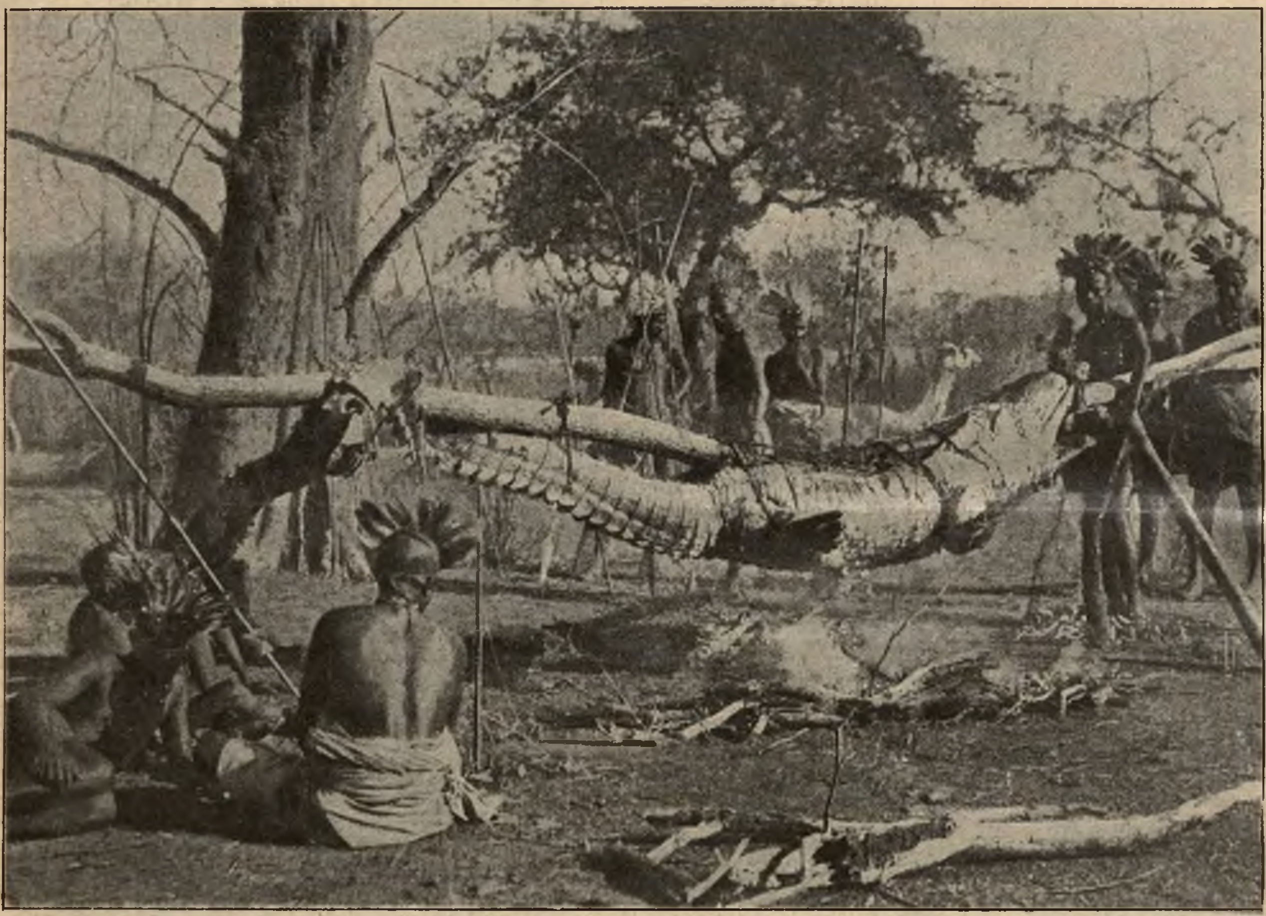
Nowa era w Turcyi: dr. Riza Tewfik-bey.

Z pomiędzy kandydatów na posłów, których wybór zdaje się nie ulegać wątpliwości, na czoło wysuwa się jeden z najmłodszych, ale już szeroko znanych polityków, dr. Riza Tewfik-bey. Wykształcony w Europie, przejęty też na wskróś zasadami postępu i cywilizacyi, będzie w przyszłym parlamencie siłą bardzo pożyteczną i dzielną.

Portret jego, oraz portrety dwu zasłużonych dygnitarzy kościoła ormiańskiego, msgr. Turiana i Ismirliana, jakoteż zdjęcie, przedstawiające uroczystość zaprzysiężenia armii tureckiej, zamieszczamy w dzisiejszym numerze.



Polowanie na krokodyle: Przewożenie na wielbłądach zabitych krokodyli.



Polowanie na krokodyle: Preparowanie zabitego krokodyla.

Egzotyczne poselstwo.

Na południowo-zachodnim stoku Himalajów rozciąga się kraina Nepal lub Nipal, w okolicy zimnej, trudno dostępnej, przerznięta wielu rozgałęzieniami Himalajów — siedziba nigdy nie wygasającej cholery, trądu, ospy i dżumy. Jest to państwo niezależne, zarządzane przez maharadżę, zostającego pod silnym wpływem Anglików, a zamieszkane przez buddyjską ludność z plemion Parbatjasów i Nirwarisów. Klasą panującą jest plemię Gorkha czyli Khas. Nominalnym zwierzchnikiem Nepalu jest każdorazowy cesarz chiński, któremu maharadża miejscowy składa na mocy układu z r. 1791 co pięć lat poddańczy haracz przez umyślnie w tym celu wysłane poselstwo.

Właśnie w tych dniach opuścił Pekin nadzwyczajny poseł maharadży Fa-Kazi-Bhyrub-Bahadur, który przywiózł należny haracz, a przybył tam po d w u l e t n i e j p o d r ó ż y, gdyż swą ojczyznę opuścił w r. 1906. Kto sobie wyobraża, z jakiemi trudnościami walczyć musi podróżujący w Himalajach, gdzie niema dróg ani mostów, ten nie będzie się wcale dziwić, że podróż trwała tak długo. W dniu 6 lutego 1907 roku wkroczyło poselstwo w granice państwa chińskiego i posuwało się powoli przez prowincye Se-Tchousen, Chen-si, Ho-Nan i Petschili, dopiero od Tcheng-te-Fou natrafiło na pierwszą stacyę kolei żelaznej, skąd już wygodniej, bo pociągiem, dostało się do Pekinu, gdzie stanęło z końcem maja r. 1908.



Nowa era w Turcyi: Msgr. Ismirlian, wygnany ormiański patryarcha.

Fa-Kazi-Bhyrub-Bahadur, którego portret według zdjęcia fotograficznego, dokonanego w Pekinie, podajemy w obecnym numerze *Nowości Illustrowanych*, jest przystojnym, czterdziestoletnim mężczyzną, o wybitnie bronzowej cerze prawdziwego Hindusa, mówi doskonale po angielsku i jest wielkim zwolennikiem cywilizacyi europejskiej. Jest on mandarynem klasy drugiej z prawem noszenia koralowego guzika na kapeluszu i piór pawich, co w chińskiej hierarchii urzędniczej jest oznaką wysokiego dostojeństwa.

Wykopaliska w Warszawie.

Bardzo często zdarza się spotkać w pismach codziennych wzmianki o różnych cennych wykopaliskach, znajdywanych tu i ówdzie po miastach w czasie rozbiórki starych domów lub kopania fundamentów pod nowe. Prawdziwe skarby archeologiczne kryją się w ziemi, dlatego jest obowiązkiem władz i poszczególnych osobistości zabytki te chronić od zniszczenia i składać w muzeach. Niedawno odkryto w Zaleszczyckiem starożytną osadę z czasów przedhistorycznych, we Lwowie natrafiono na różne starodawne naczynia, a w ostatnich czasach we Warszawie wykopano trzy tygle, służące, jak się zdaje, do topienia metali.

Przy rozbiórce starej mennicy przy ul. Bielańskiej natrafili murarze na trzy wielkie naczynia,



Nowa era w Turcyi: Msgr. Turian, b. ormiański biskup w Smyrnie.

z których dwa są silnie uszkodzone, trzecie zachowane dość dobrze. Komisya „starej Warszawy“ zbierająca skrzętnie wszystko, co się odnosi do przeszłości miasta, udała się na miejsce z mecenasem Kraushārem i korespondentami pism miejscowych, a po odfotografowaniu wykopalisk przejęła je na rzecz przyszłego muzeum miejskiego warszawskiego.

Muzea miejskie, które mają pomieścić wszystkie zabytki, odnoszące się do przeszłości danego miasta, mają wielkie znaczenie dla celów naukowych, koncentrują bowiem wszystkie zabytki, które rozproszone po różnych miejscach łatwo mogły by uledz zniszczeniu. Warszawskie muzeum o tyle będzie od innych szczęśliwsze, że już obecnie wiele jest przedmiotów, które mogą tam znaleść pomieszczenie, a nadto spodziewać się należy, że i publiczna ofiarność zaopatrzy je w różne zabytki, które po prywatnych domach przechowywane, niedostępne są dla ogółu i badaczy przeszłości, a częstokroć wielką przedstawiają wartość historyczną. Ruch budowlany, jaki panuje obecnie w Warszawie, każe się spodziewać, że jeszcze nieraz natrafi się na różne cenne wykopaliska, dotąd ukryte w ziemi, które mogą i powinny stać się ozdobą miejskiego muzeum.



Wykopaliska w Warszawie: Komisya »starej Warszawy« przy znalezionych w starej mennicy tyglach, służących do topienia metali.

Włamywacz Gentleman.

PRZYGODY ZBRODNIARZA

przez Maurycego Leblanc.

7

Agenci tymczasem uwolnili mnie z więzów. Silnie ugryzłem się w usta, krew popłynęła. Z chustką przy ustach, skurczony we dwoje, jak przystało człowiekowi, który przez dłuższy czas męczył się w niewygodnej pozycyi i ma na twarzy krwawiący ślad zakneblowania, głosem zdławionym przemówiłem do komisarza:

— To był Arsen Lupin, nie może być żadnej wątpliwości... Nie tracąc czasu można byłoby go jeszcze złowić... Sądzę, że mógłbym może być panu pomocnym...

Odczepiono wagon, który miał być oddany na usługi władz policyjnych. Pociąg zaś odszedł dalej do Havre. Przez tłum ciekawych, tłoczących się na peronie, poprowadzono nas do biura naczelnika stacyi.

Przyszła na mnie chwila wahania. Pod jakim kolwiek pretekstem mógłbym się teraz wymknąć, dopaść mego automobilu i czmychnąć. Oczekiwać tu stanowczo było niebezpiecznie. Lada drobny wypadek, jakaś depesza z Paryża — i byłbym zgubiony.

Tak, ale mój złodziej? W okolicy mało znanej, nie mając żadnej znikąd pomocy, nie mogłem wiele mieć nadziei, że go pochwycę.

— Ba, spróbujmy wszakże — pomyślałem. Gra nie łatwa do wygrania, ale taka zajmująca! A stawka też warta zachodu.

Więc kiedy nas powołano do powtórzenia zeznań, zawołałem:

— Panie komisarzu! Arsen Lupin nie czeka. Mój automobil znajduje się tu w podwórzu. Jeśli pan zrobi mi tę przyjemność i zechce go użyć, można byłoby sprobować...

Komisarz uśmiechnął się dowcipnie:

— Myśl niezła... tak dalece niezła, że nawpół już wykonana.

— Ach tak?

— Tak panie; dwaj moi agenci pojechali już na rowerach... od kilku już chwil...

— Ale dokąd?

— Do tunelu. Znajdą tam u wyjścia jakieś poszlaki, wskazówki i wpadną na ślad Arsena Lupin.

Nie mogłem wstrzymać się, aby nie wzruszyć ramionami.

— Dwaj pańscy agenci nie znajdą ani poszlak, ani wskazówek.

— W istocie?

— Już Arsen Lupin tak się urządził, aby go nikt nie spostrzegł wychodzącego z tunelu. Dopadł pewno pierwszej drogi, a tam...

— A tam Rouen, i tam go pochwycimy.

— On nie pójdzie do Rouen.

— Więc pozostanie w okolicy, gdzie łatwiej go jeszcze znaleść.

— Nie zostanie i w okolicy.

— O, o! A gdzież się podzieje?

Wyjąłem zegarek z kieszeni.

— W obecnej chwili Arsen Lupin kręci się dokoła stacyi w Darnétal. O drugiej pięćdziesiąt, to jest za dwadzieścia dwie minuty wsiądzie do pociągu, który odchodzi w Rouen z dworca Północnego do Amiens.

— Tak pan myśli? A skąd to pan wie tak dobrze?

— To bardzo proste. W wagonie Arsen przeglądał mój rozkład jazdy. Poco? Po co mu to? Jedynie tylko, aby wiedzieć, czy w pobliżu miejsca, kędy wyskoczył z wagonu, niema jakiej stacyi i czy jaki pociąg nie zatrzyma się tam wkrótce. Ja także przeglądałem pierwej ten rozkład i dowiedziałem się z niego, co mi było potrzebnem.

— Naprawdę mój panie, świetny wywód. Co za znajomość rzeczy!

Uniesiony dowodzeniem popełniłem niezręczność wykazania się ze zbytnią przenikliwością. Popatrzył na mnie ze zdziwieniem i czułem, że wzbudziło się w nim podejrzenie. O bagatela! Fotografie Arsena Lupin, rozsyłane przez policyę, bardzo mało przypominały tego, który w tej chwili przed nim się znajdował; trudno byłoby poznać. W każdym razie jednak był dość zaniepokojony, zmieszany.

Nastała chwila ciszy. Coś dwuznacznego, niepewnego zamykało nam usta. Mnie samego przebiegł przykry dreszcz niepokoju. Czyżby los przeciw mnie się zwrócił? Opanowawszy się szybko, zacząłem się śmiać.

— Mój Boże, nic tak nie odbiera przytomności, jak strata teki z papierami i pragnienie jej odnalezienia. Zdaje mi się, że gdybyś pan zechciał dodać mi paru agentów, może moglibyśmy we trzech...

— Och błagam pana, panie komisarzu — wykrzyknęła pani Renaud — zechciej pan usłuchać pana Berlat

Przemówienie mojej nieocenionej przyjaciółki stało się decydującem. Imię Berlat, wymienione przez nią, żonę osobistości wpływowej, stawało się nieodwołalnie mojem, nadawało mi tożsamość, której nikt nie śmiałby zaprzeczyć. Komisarz powstał:

— Byłbym bardzo szczęśliwy, proszę mi wierzyć panie Berlat, gdyby się panu udało pochwycić Arsena Lupin. Zależy mi na tem niemniej, jak panu.

Przeprowadził mnie aż do automobilu. Przedstawił mi dwóch agentów: Honoryusza Massol i Gastona Delivet; wsiedli. Ja wskoczyłem już w biegu. Mechanik poruszył korbą — w kilka sekund później byliśmy już za stacyą. Byłem ocalony.

Ach przyznaję, że pędząc przez bulwary, otaczające stary gród normandzki, potężnym biegiem trzydziestu pięciu koni mojego motoru Moreau-Lepton, nie byłem pozbawiony pewnego stopnia dumy.

Motor mruczał harmonijnie. Na prawo, na lewo drzewa umykały za nami. Wolny, bezpieczny, miałem jedynie do załatwienia parę drobnych spraw osobistych, w czem mi dopomagali dwaj rzetelni przedstawiciele siły państwowej. Arsen Lupin udawał się na poszukiwanie Arsena Lupin!

Skromne podpory porządku publicznego: Gastonie Delivet i Honoryuszu Massol, jakże obecność wasza była dla mnie cenną! Bez was cóżbym począł? Ileż razy bez was na rozstaju obrałbym złą drogę! Bez was Arsen Lupin myliłby się, a tamtenby umknął!

Ale daleko jeszcze było do końca — o daleko! Naprzód musiałem schwytać jegomościa, a potem sam osobiście dostać w ręce papiery, które mi skradł. Na żaden sposób nie można było dozwolić, aby który z moich akolitów wsunął nos w te dokumenty, tembardziej aby spostrzegł, ile mi na tem zależy. Posługiwać się nimi, a działać poza nimi, oto moje główne zadanie; a łatwem nie było.

Do Darnétal przybyliśmy w trzy minuty po odejściu pociągu. Co prawda miałem tę pociechę, że dowiedziałem się, iż jakieś indywiduum w szarem okryciu, wciętem do stanu, o czarnym aksamitnym kołnierzu kupiło bilet do Amiens i wsiadło do wagonu drugiej klasy. Stanowczo mój debiut policyanta rozpoczynał się szczęśliwie.

Delivet rzekł do mnie:

— Ten pociąg był kuryerem i nie zatrzyma się pierwej aż w Montérolier Buchy za dziewiętnaście minut. Jeśli tam nie będziemy przed przyjściem pociągu, to Arsen Lupin może zarówno albo dalej ruszyć do Amiens, albo zwrócić się do Clères, a stamtąd do Dieppe, albo Paryża.

— Jak daleko do Montérolier?

— Dwadzieścia trzy kilometry.

— Dwadzieścia trzy kilometry w dziewiętnastu minutach... Będziemy tam pierwej od niego!

Szalona jazda! Mój wierny Moreau Lepton nigdy z podobnym zapałem i gorliwością nie służył mej niecierpliwej chęci. Zdawało mi się, że przelewam weń wprost, bez pomocy dźwigni i korby, siłę mojej woli. Zdawał się podzielać moje pragnienie, uznawać moją zawziętość. Rozumiał moją nienawiść do tego łotra Arsena Lupin. Niegodziwiec! Zdrajca! Czyż nie zemszczę się nad nim! Czyż raz jeszcze zadrwi sobie z potęgi, z tej potęgi, której jestem wcieleniem:

— Na prawo! — wykrzykiwał Délivet. Na lewo!... Prosto!...

Mknęliśmy ponad ziemią. Słupki podróżne wyglądały jak małe tchórzliwe zwierzątka, pierzchające za naszem zbliżaniem się.

Nagle na skręcie drogi ukazał się kłęb dymu — to kuryer północny.

Wszczęła się gonitwa — jeden obok drugiego, na przestrzeni kilometra — gonitwa niesłychana, której koniec był naprzód wiadomy.

Gdyśmy staneli u celu wyprzedziliśmy pociąg o dwadzieścia długości.

W trzy sekundy potem staliśmy już na peronie przed wagonami drugiej klasy. Pootwierano drzwiczki — parę osób wysiadło. Złodzieja nie było. Przetrząsnęliśmy wszystkie przedziały — Arsena Lupin ani śladu.

— Do dyaska! — wykrzyknąłem — poznał mnie, gdyśmy się ścigali i wyskoczył pewno z wagonu.

Maszynista pociągu potwierdził moje przypuszczenie. Widział jakiegoś człowieka, jak zbiegał po nasypie kolejowym o dwieście metrów od stacyi...

— Tam, tam, patrz pan... przechodzi równinę.

Rzuciłem się w pogoń, za mną dwaj akolici, a właściwie jeden tylko, bo drugi, Massol, okazał się doskonałym biegunem, zarówno szybkim, jak zręcznym.

W kilka minut przestrzeń, dzieląca go od zbiega, zmniejszyła się znacznie. Zbieg spostrzegł go, przeskoczył płot i rzucił się ku pochyłości, po której wnet zbiegać począł. Za chwil kilka ujrzeliśmy go już dalej: wpadał do małego lasku.

Kiedy tam przybyliśmy Massol oczekiwał nas na skraju lasu. Z obawy, aby nas z oczu nie stracić, nie chciał zapuszczać się w głąb.

— Winszuję ci przyjacielu — rzekłem do niego — po takiej przechadzce zbieg nasz musi zaledwo oddychać. Mamy go w ręku.

Puściłem się na przegląd okolicy, rozmyślając wciąż nad środkami schwytania złodzieja bez czyjejkolwiek pomocy. Gdyby władze sądowe dostały się pierwej do mojej własności, otrzymałbym ją dopiero po długich nudnych śledztwach. Wróciłem wreszcie do moich towarzyszy.

— Rzecz prosta i łatwa — rzekłem. — Wy, Massol, stańcie tu, po lewej stronie, a wy, Delivet, po prawej. Czuwajcie dobrze nad całą okolicą poza laskiem; nie wyjdzie niepostrzeżony, chyba przez ten wąwóz, gdzie ja sam nadzór obejmę. Jeśli nie opuści wąwozu, zapuszczę się tam i naturalnie, napędzę go na którego z was. Macie więc tylko czekać i pilnować. Ach, zapomniałem! w razie niebezpieczeństwa sygnał — strzelić.

Massol i Delivet oddalili się, każdy w swoją stronę. Zaledwo znikli mi z oczu, zapuściłem się w las, bacząc starannie, aby nie być spostrzeżonym, ani usłyszanym. Były tam gąszcze okrutne, przeznaczone do polowania, ścieżki wąziuchne, po których można tylko iść, zginając się pod niskiem sklepieniem zieloności.

Jedna z takich ścieżyn wiodła na małą polankę, gdzie na wilgotnej trawie rozróżnić można było ślady kroków. Poszedłem tymi śladami, starając się przesuwać pod gąszczami. Zawiodły mnie do stóp małego wzgórza, na którego wierzchołku stała jakaś rudera, nawpół już rozwalona.

— Tam być musi — pomyślałem — stanowisko nieźle obmyślane.

Wdrapałem się aż do ścian samej rudery. Lekki szelest dał mi znać o czyjejś obecności. Jakoż przez otwór spostrzegłem zbója, obróconego do mnie plecami.

W dwóch skokach byłem już za nim. Usiłował wycelować do mnie trzymany w ręku rewolwer. Nie dałem na to czasu; rzuciłem go na ziemię w ten sposób, że obie jego ręce znalazły się pod nim skręcone, a ja z góry kolanem przycisnąłem mu pierś.

— Słuchaj — szepnąłem mu do ucha — jestem Arsen Lupin. Oddasz mi natychmiast z dobrej woli moją tekę i torebkę tamtej pani... wzamian za co wyrwę cię ze szponów policyi i zaciągnę do szeregu moich towarzyszy. Jedno słowo tylko: tak, czy nie?

— Tak — szepnął.

— Tem lepiej. Sprawa twoja dzisiejszego ranka była ładnie pomyślana. Zgodzimy się.

Podniosłem się. On sięgnął do kieszeni, wyciągnął szeroki nóż i zamierzył się na mnie.

— Łotrze! — wykrzyknąłem.

Jedną ręką odparowałem uderzenie, drugą zadałem potężny raz w arteryę, wiodącą do mózgu; raz ten nazywa się: *„hook* w arteryę główną“. Padł, omdlały. W tece odnalazłem wszystkie swoje papiery i bankowe bilety. Przez ciekawość zajrzałem do jego teki. Na kopercie, zaadresowanej do niego, wyczytałem: Piotr Onfrey.

Zadrżałem. Piotr Onfrey, zabójca z ulicy Lafontaine w Auteuil! Piotr Onfrey, który zarznął panią Delbris i jej dwie córki. Pochyliłem się nad nim. Tak, była to ta sama twarz, która w wagonie wzbudziła we mnie wspomnienie widzianych już gdzieś rysów.

Ale czas upływał. Włożyłem do koperty dwa stufrankowe bilety i na karcie skreśliłem te słowa: „Arsen Lupin dobrym swoim kolegom, Honoryuszowi Massol i Gastonowi Delivet, w dowód wdzięczności“. Umieściłem to na widoku, w środku rudery. Na boku leżała torebka pani Renaud. Czyż mogłem nie zwrócić tej drobnostki mojej nieocenionej przyjaciółce, która mi takie oddała usługi? Wyznaję wszakże, że z wnętrza torebki wyciągnąłem wszystko, co posiadała godnego uwagi, zosta-

wiając tylko szyldkretowy grzebyczek, laskę różu Dorin na usta i pustą portmonetkę. Do dyabła! Interes interesem. Zresztą mąż jej uprawia rzemiosło tak mało zaszczytne!..

Pozostawał mi jeszcze ten człowiek. Zaczynał poruszać się. Co mam z nim zrobić? Nie mam upoważnienia ani go wyratować, ani skazać.

Odebrałem mu broń i strzeliłem z rewolweru w powietrze.

— Tamci dwaj zaraz nadejdą — myślałem — niech sobie radzi z nimi, jak chce. Stanie się tak, jak każe jego przeznaczenie.

I biegnąc, oddaliłem się drogą przez wąwóz. We dwadzieścia minut potem droga poprzeczna, którą zauważyłem podczas naszego pościgu, zawiodła mnie wprost do mego automobilu.

O czwartej popołudniu nadałem depeszę do moich przyjaciół w Rouen, powiadamiając ich, że nieprzewidziany wypadek przeszkodził mi w zamierzonej wizycie. Mówiąc między nami, obawiam się, czy nie będę zmuszony odłożyć ją w nieskończoność. Okrutne dla nich rozczarowanie!

O szóstej wjeżdżałem do Paryża przez l'Isle Adam, Enghien i bramę Bineau.

Dzienniki wieczorne przyniosły mi wiadomość, że udało się nakoniec pojmać Piotra Onfrey.

Nazajutrz — nie wzgardziwszy usługami rozumnie pojętej reklamy — *Echo de France* zamieściło wzmiankę sensacyjną:

„Wczoraj w okolicach Buchy, po licznych wypadkach Arsen Lupin dokonał aresztowania Piotra Onfrey. Zbrodniarz z ulicy Lafontaine, w pociągu między Paryżem a Havrem ograbił panią Renaud, małżonkę wicedyrektora zakładów karnych. Arsen Lupin zwrócił pani Renaud jej torebkę, zawierającą klejnoty, i wspaniałomyślnie wynagrodził dwóch agentów tajnej policyi, którzy mu pomagali w dokonaniu tego dramatycznego aresztowania.

Naszyjnik królowej.

Dwa lub trzy razy do roku, przy ważniejszych uroczystościach, jak bal w poselstwie austryackiem, albo wieczór u lady Billingstone, hr. de Dreux-Soubise wkładała na swe białe ramiona „Naszyjnik królowej“. Był to sławny naszyjnik, naszyjnik legendowy, który Böhmer i Bassenge, jubilerowie dworu, przeznaczali dla księżnej Du Barry, który kardynał de Rohan-Soubise chciał ofiarować Maryi Antoninie, królowej francuskiej, a który Joanna de Valois, hrabianka de la Motte, sławna awanturnica, pewnego lutowego wieczoru 1785 r. rozebrała na części przy pomocy męża swego oraz współwinowajcy, Rétaux de Vilette.

Mówiąc prawdę, jedynie sama oprawa pozostała autentyczną. Zachował ją Rétaux de Vilette, podczas gdy imć pan de la Motte i jego żona puścili na cztery wiatry brutalnie wydarte kamienie, przepyszne klejnoty, które Böhmer tak starannie dobierał. Później Rétaux de Vilette sprzedał oprawę we Włoszech Gastonowi de Dreux-Soubise, siostrzeńcowi i dziedzicowi kardynała, który wyratował go z ruiny przy rozgłośnem bankructwie Rohan-Guéménée; Dreux-Soubise na pamiątkę swego wuja, dla którego czuł zawsze głęboką wdzięczność, wykupił część brylantów, które pozostawały jeszcze w posiadaniu angielskiego jubilera Jefferys, dopełnił je innymi, wprawdzie znacznie mniejszej wartości, ale tego samego rozmiaru i tym sposobem cudowny „naszyjnik w niewoli“ został odtworzony w takiej postaci, w jakiej wyszedł z rąk Böhmera i Bassenge'a.

Blizko całe stulecie Dreux-Soubises pysznili się z posiadania historycznego klejnotu. Chociaż różne okoliczności znacznie zmniejszyły ich fortunę, woleli uszczuplić wydatki domowe, niż pozbyć się drogocennej, królewskiej relikwii. Zwłaszcza dzisiejszy jej posiadacz cenił ją, jak ceni się stary dom ojcowski. Przez troskliwość wynajął nawet w Lyońskim banku kredytowym skrzynkę, do której klejnot chował. Kiedy żona chciała się ubrać w naszyjnik, sam chodził przed wieczorem do banku i sam go odnosił nazajutrz.

Tego wieczora na przyjęciu w Pałacu Kastylskim hrabina święciła prawdziwe tryumfy i nawet sam król Chrystyan, dla którego wydawano ten bankiet, zwrócił uwagę na jej piękność wspaniałą. Klejnoty połyskiwały na wdzięcznej jej szyi. Tysiące płaszczyzn brylantowych lśniły się i promieniami tryskały w potokach światła. Zdawało się, że żadna inna kobieta nie potrafiłaby nosić tak swobodnie i z taką dumą tego ciężaru królewskiego.

Był to zatem tryumf podwójny i hr. de Dreux-Soubise nasycał się nim głęboko; gdy znaleźli się już w swoim pokoju, w starym swym domu przedmieścia Saint Germain, dał ujście swemu zadowoleniu. Czuł się dumny zarówno z żony jak i z klejnotu, który od czwartego pokolenia okrywał sławą dom jego. Żona pyszniła się także, w dziecinny nieco sposób, co niemniej było cechą dumnego jej charakteru.

Nie bez żalu zdjęła z szyi naszyjnik i podała go mężowi, ten przyglądał mu się z zachwytem, jakby po raz pierwszy go widział. Potem ułożył



Usiłował wycelować na mnie trzymany w ręku rewolwer.

starannie w pudełku z czerwonej skóry, ozdobionem herbem kardynała, i udał się do sąsiedniego pokoiku, raczej rodzaju alkowy, zupełnie oddzielonej od ich pokoju, do której jedyne drzwi znajdowały się w rogu ich łóżka. Postawił pudełko, jak zwykle to czynił, na półce dość wysoko wzniesionej, ukrywszy je wśród pudeł z kapeluszami i stosów bielizny. Następnie zamknął drzwi i zaczął się rozbierać.

Nazajutrz wstał około dziewiątej z zamiarem pójścia przed śniadaniem jeszcze do banku kredytowego. Ubrał się, wypił filiżankę kawy i zaszedł do stajni. Wydał tam rozporządzenia. Zaniepokoił go jeden z koni. Kazał go przeprowadzić przed sobą w dziedzińcu. Potem powrócił do żony.

Nie wychodziła jeszcze wcale z sypialni; przy pomocy pokojowej czesała się właśnie. Rzekła do niego:

— Zamierzasz wyjść?

— Tak... chcę odnieść...

— Ach rzeczywiście!... zawsze to lepiej...

Wszedł do alkowy. Po kilku chwilach zapytał bez najmniejszego zresztą zdziwienia:

— Wziąłaś go moja kochana?

— Jakto? co? Ależ nie, nic nie wzięłam.

— Więc przestawiłaś...

— Wcale!... Nie otwierałam nawet tych drzwi

Stanął na progu zmieszany, bełkocąc zaledwo zrozumiałym głosem:

— Nie brałaś?... To nie ty?... A zatem...

Przybiegła; zaczęli szukać gorączkowo, zrzucając pudła na ziemię, przetrząsając stosy bielizny. A hrabia powtarzał:

— Nadaremnie... wszystko to nadaremnie... Tutaj na półce postawiłem.

— Mogłeś się pomylić.

— Tutaj na tej półce, nie gdzieindziej.

Zapalili świecę, bo alkowa była dość ciemną i wynieśli wszystkie rzeczy, które się w niej znajdowały. Kiedy nic w niej nie pozostało musieli przyznać z rozpaczą, że sławny naszyjnik: „królewski naszyjnik w niewoli“, zniknął bez śladu.

Hrabina z natury energiczna, nie tracąc czasu na próżne żale, zawiadomiła natychmiast komisarza pana Valorbe, o którego przenikliwości i bystrym umyśle mieli już możność przekonać się pierwej. Gdy mu pobieżnie opowiedziano o szczegółach, zapytał:

— Czy pan hrabia jest pewny, że nikt nie mógł wejść w nocy do sypialni?

— Zupełnie jestem pewny. Mam sen bardzo lekki. Co więcej: drzwi były zamknięte na klucz. Kiedy żona dzwoniła dziś na służącą, musiałem otworzyć je kluczem.

— Czy niema drugiego przejścia, przez które można byłoby wejść do alkowy?

— Niema żadnego.

— A przez okno?

— Tak; ale okno jest zabite.

— Chciałbym wszakże zobaczyć.

Zapalono świecę i pan Valorbe przekonał się wkrótce, że okno było zastawione tylko do połowy wysokim kufrem, który nawet nie przylegał dobrze do ram okna.

— Przylega jednak o tyle, że usunąć go bez żadnego szmeru niepodobna — zauważył hrabia.

— A dokąd wychodzi to okno?

— Na kurytarzyk środkowy.

— A jest ponad nim jeszcze piętro drugie?

— Są dwa, ale przy mieszkaniu służących kurytarzyk ma okno zaopatrzone siatką z drobnych oczek. Dlatego to i u nas tak mało jest światła.

Zresztą skoro usunięto kufer, przekonano się, że okno jest zamknięte, coby być nie mogło, gdyby ktoś wtargnął był z zewnątrz.

— W każdym razie ten ktoś nie wyszedł przez nasz pokój — dorzucił hrabia.

— Nie znalazłbyś pan drzwi zamkniętych na klucz.

Komisarz pomyślał chwilę, a potem zwrócił się do hrabiny:

— Czy wiedział kto, że pani hrabina ma włożyć wieczorem naszyjnik?

— Zapewne; z tem się nie kryłam. Ale nikt nie wiedział, że chowamy go w alkowie.

— Nikt?

— Nikt... Chyba tylko...

— Proszę panią, racz pani mówić wyraźnie. Tu jest punkt najgłówniejszy.

Zwróciła się do męża:

— Myślałam o Henryce.

— Henryka? Nie wie tego, tak samo jak i inni.

— Czy jesteś pewny?

— Któż jest ta pani? — spytał pan Valorbe.

— Moja koleżanka z klasztoru; zerwała z rodziną, aby zaślubić biednego człowieka, rodzaj robotnika. Po śmierci męża przyjęłam ją z synem do siebie; dałam im mieszkanie w tym domu.

I z pewnem zakłopotaniem dorzuciła:

— Czasem oddaje mi pewne drobne usługi; ma bardzo zręczne palce.

— Na którem piętrze mieszka?

— Na tem samem, co my... Zupełnie blizko, na końcu tego kurytarza. I nawet, zdaje mi się, okno jej kuchni...

— Wychodzi na ten kurytarzyk, czy nie tak?

— Tak jest; właśnie naprzeciw okna alkowy.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Kongres Izb handlowych w Pradze.

Wobec stałego rozwoju stosunków handlowych między państwami i narodami świata cywilizowanego, wytworzyła się potrzeba jak największego ujednostajnienia i uproszczenia środków i sposobów międzynarodowego handlu. W zrozumieniu tej potrzeby i celem jej zaspokojenia, izby handlowo-przemysłowe w Belgii podniosły przed sześciu laty myśl ścisłego połączenia się wszystkich izb handlowo-przemysłowych i odbywania kongresów dla załatwiania wspólnych kwestyi ruchu handlowego.

Pierwszy taki kongres odbył się w 1904 r. w Leodyum w Belgii, z okazyi odbywającej się tam wystawy. Wówczas to uchwalono utworzyć stały międzynarodowy wydział kongresów, składający się z delegatów wszystkich państw. Postanowiono też odbywać zjazdy co dwa lata. Drugi taki kongres odbył się w 1906 r. w Medyolanie, z okazyi otwarcia tunelu symplońskiego. Zjazd ten zgromadził przeszło 1200 uczestników, co było najlepszym dowodem żywotności tej instytucyi.



Nowa era w Turcyi: Zaprzysiężenie armii tureckiej na wierność konstytucyi.

Obecnie odbył się w Pradze, z okazyi wystawy jubileuszowej, urządzonej tam przez praską Izbę handlowo-przemysłową, trzeci międzynarodowy kongres.

Uroczyste, inauguracyjne zebranie kilkuset uczestników odbyło się w ubiegłą sobotę w głównym pawilonie wystawowym. Zagaił je prezydent komitetu wykonawczego hr. Clam Martinic, poczem przemówił protektor kongresu i reprezentant cesarza arcyksiążę Karol Franciszek Józef, otwierając kongres przemówieniem francuskiem, niemieckiem i czeskiem. Z kolei wygłosili powitalne mowy minister handlu dr. Fiedler, burmistrz Pragi dr. Grosz, przedstawiciele praskiej izby handlowo-przemysłowej, komitetu wystawy itd.

Obrady kongresu rozłożone zostały na pięć dni.

Zwołanie zjazdu międzynarodowego do Pragi, jest doniosłem zwycięstwem Czechów. Jest to bowiem pierwszy międzynarodowy zjazd o charakterze urzędowym, który odbywa się w ich stolicy.

Czesi występują jako gospodarze wobec delegatów z Austryi, Węgier, Niemiec, Egiptu, Belgii, Holandyi, Włoch, Luksemburgu, Meksyku, Norwegii, Rosyi, Szwecyi, Szwajcaryi, Serbii, Hiszpanii i Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Po raz pierwszy znaleźli też Czesi sposobność uprzytomnienia wobec całego świata postępów swego przemysłu i handlu, swej kultury narodowej.

A mają się Czesi czem chlubić. W ciągu ostatnich czterdziestu lat dokonali bowiem dzieł bardzo poważnych i chlubnych, a kraj swój postawili na nadzwyczaj wysokim poziomie cywilizacyjnym.

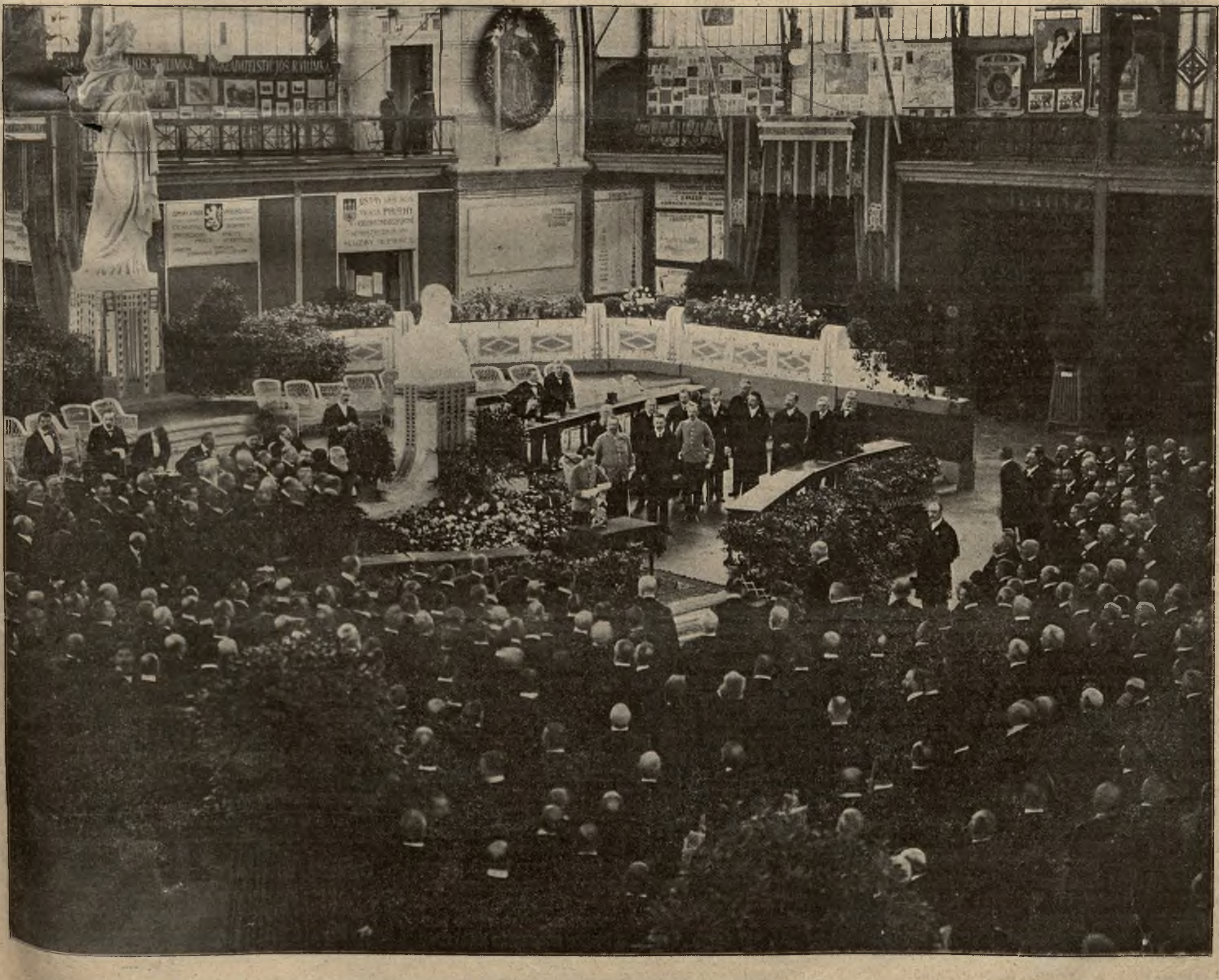
Pod względem oświaty idą na czele Słowiańszczyzny, trzebiąc zacięcie analfabetyzm w swym kraju. W przemyśle stanęli także niezmiernie wysoko i mają dziś szereg fabryk największych w monarchii: największa fabryka maszyn, największe cukrownie, największy browar itd. są w ich ręku.

Pod względem narodowym zrobili też niezmiernie wiele, wypierając Niemców konsekwentnie ze wszystkich ważniejszych posterunków.

Z dumą też i zadowoleniem oprowadzali gości, przybyłych z całego niemal świata do „Złotej Pragi" i po mieście, pełnem pamiątek i po wystawie swego przemysłu.

Wywołało to oczywiście nowe niezadowolenie wśród Niemców, którzy przywykli dotąd reprezentować państwo na zjazdach międzynarodowych.

W kongresie w Pradze bierze udział także kilku Polaków, między tymi prezes krakowskiej Izby handl. p. Dattner i Baczewski ze Lwowa.



Kongres Izb handlowych w Pradze: Przemówienie protektora kongresu, arcyks. Karola Franciszka Józefa w czasie uroczystego otwarcia III międzynarodowego kongresu Izb handlowych w Pradze.

Kronika tygodniowa.

(Gwardyjska parada w Berlinie. — Jej znaczenie pedagogiczne. — »Sardanapal«. — Pan Ignacy Sznajder. — »Uczciwy słowianin« z Warszawy. — Efektowna historyozofia. — Książka o miłości).

Niezapomniany dzień miał niedawno Berlin, prawdziwie narodową uroczystość — przepraszam — aż dwie uroczystości. Ale pragnę być ścisłym, zaznaczam tedy przedewszystkiem, że działo się dnia 1 września roku 1908. Chciałem napisać: roku pańskiego, ale wstrzymałem się w sam czas. Wprawdzie w Berlinie wszystko jest pańskie, ale nie boże, a raczej boże, jednakże po świecku. Berliński bóg ma znany monogram. Lecz wracajmy do uroczystości.

A więc rankiem niezapomnianego wtorku odbyła się na polu Tempelhof pod Berlinem jesienna parada korpusu gwardyi pruskiej. Dajmy głos berlińskiemu dziennikowi *Local-Anzeiger*, który jest wiernem echem wszelakich poruszeń psychicznych przeciętnego Prusaka. „Przecież to dzień uroczysty dla Berlina — powiada z namaszczeniem ów dziennik. Mówcie, co chcecie. Każdemu berlińczykowi brakowałoby nie czegoś, ale bardzo wiele, gdyby nie mógł podziwiać swoich strojnych gwardzistów w ich dniu honorowym. A niejednemu, który stoi przy drodze z płonącem okiem, skaczą nogi. Bardzo wielu jest także takich, którzy z radością i honorem nosili kabat królewski. A cóż dopiero młodzież! Nie tylko młodzieńcy, l e c z t a k ż e d z i e w c z ę t a. Jakże taki dzień działa w y c h o w a w c z o. S e r c a i c h w t y c h k i l k u g o d z i n a c h w c h ł o n ą w i ę c e j p a t r y o t y z m u i e n t u z y a z m u, n i ż w s t u t y g o d n i a c h n a u k i“.

To jest dosłowne tłomaczenie. Nie wiem, czy jest jaki kraj na świecie, a w tym kraju istnieje jaki dziennik, któryby coś podobnego napisał. Widok gwardyi znaczy dla młodzieży więcej pod względem pedagogicznym, aniżeli sto tygodni nauki. Pedagogia, na którą zdobyć się może tylko Berlin. Biedna ta młodzież, biedne zwłaszcza dziewczęta. I chyba one są lepsze, a w każdym razie nie takie, jak je przedstawia dziennik berliński. Widowisko, godne wszystkich przeszłych, teraźniejszych i przyszłych satyryków świata! Gwardya pruska, jako czynnik pedagogiczny! Ba — i to w wychowaniu dziewcząt. Gwardya, której oficerowie uprawiają homoseksualizm. Dziewczęta przypominają sobie niedawne procesy, o których wszyscy mówili od najstarszych do najmłodszych; przypominają sobie hr. Moltkego, hr. Lynara, hr. Hohenaua i innych bohaterów gwardyjskich, którzy w owych procesach występowali, przypominają sobie i rumienią się za nich. Rzeczywiście taka gwardya działa wychowawczo, znaczy więcej niż sto tygodni nauki szkolnej.

A teraz druga uroczystość. W królewskiej Operze „*théâtre paré*“ dla dworu, dla dygnitarzy, dla doborowej publiczności. Niżej dziesięciu marek niema siedzenia. Na scenie rozgrywa się historyczna pantomina pod tytułem „Sardanapal“. Od kilku miesięcy jęczały góry, ażeby porodzić mysz. Ale z tej myszy prasa niemiecka — prócz niewielu wyjątków — zrobiła słonia, wielbłąda, czy nawet pegaza. Albowiem ten „Sardanapal“ powstał z inicyatywy cesarza i króla Wilhelma; albowiem reżyseryę opracował, skreślił, oznaczył, czy jak tam powiedzieć, równie cesarz i król; albowiem wreszcie nawet tekst do pantominy zawdzięcza swoje powstanie jemu.

Niegdyś, za czasów Wilhelma I. pojawił się na scenie berlińskiej Opery ów Sardanapal jako balet Pawła Taglioniego. Na rozkaz Wilhelma znany assyriolog Delitzsch napisał do baletu tekst objaśniający, oczywiście straszliwie uczony, prócz tego zaś zapomocą artykułów dziennikarskich pouczał publiczność o Assyryi i jej tragicznym królu Sardanapalu. Do starej muzyki Hertla wplótł profesor Schlar nowe melodye azyatyckie, przedstawienie rozpoczęło się prologiem Lauffa, a jeden z aktorów przed każdym aktem pantominy ogłaszał treść jego. Żywy kinematograf z mówionym komentarzem.

Pantomina baletowa, czy balet pantomimiczny. A do tej mięszaniny teatralnej napisał — jak wspomniałem — uczony Delitzsch pocieszny w swojej mimowolnej humorystyce komentarz. Ażeby udowodnić, że statyści baletowi słusznie mają uwieńczone głowy, pisze p. Delitzsch: „Na okoliczność, że uczestnicy biesiad głowy swoje zdobili wieńcami, wskazują badacze starego testamentu na podstawie księgi proroctw Jezajasza, 28—1, ale tego nie można jeszcze uważać za pewnik“. Niezrównana humorystyka. Z dobrej historyi tanecznej Taglioniego zrobiono rzecz w rodzaju: ni pies, ni wydra. Ale publiczność klaskała, cesarz był zadowolony, Taglioni kilka razy obrócił się w grobie.

Zaproszeni na to przedstawienie assyriologowie z Niemiec i zagranicy chwalili wszystko na potęgę. Francuski assyriolog Dieulafoy z Paryża, wobec pewnego sprawozdawcy dziennikarskiego, wypowiedział całą litanię pochwał, z pośród których przytoczę małą próbkę. „A wogóle drugi akt! — mówił p. Dieulafoy. — Tak sądzę, poruszali się wojownicy assyryjscy. Pewność niezrównana!“ Nie sądziłem nigdy, że uczony francuski zdobędzie się na tak głęboką uwagę w guście zupełnie niemieckim. Co za intuicya w odgadnieniu, jak maszerowało wojsko assyryjskie. A może to wojsko posiadało pruskich podoficerów jako instruktorów?

Angielski znawca Assyryi *reverend* Paterson z Londynu, mówił o „Sardanapalu“ ze stanowiska biblii. Całkiem naturalnie — wszak *reverend* Paterson jest duchownym. Ale i jemu zaimponował najpierw cesarz Wilhelm, a potem wojak assyryjski.

„Wiadomości assyriologiczne cesarza — mówił *reverend* Paterson — wywołały we mnie podziw. Zwłaszcza pod względem wojskowych spraw owej epoki mogłem się od cesarza wiele nauczyć. I tak cesarz podczas próby generalnej kazał przyjść na scenę żołnierzowi assyryjskiemu i „demonstrował“ na nim odzież, dowodząc, dlaczego ona tutaj, czy tam była potrzebna. O budowie warowni za czasów Eudeasa — 30 lat przed Chrystusem — wie dział więcej prawie niż ja i podniósł fakt, że sposób wznoszenia zaczepnych i odpornych budowli od owego czasu aż do wynalezienia prochu pozostał zupełnie ten sam“.

Jedno z dwojga: albo *reverend* Paterson jest lichym assyriologiem, albo wcale tęgim dworakiem.

Zachęceni tak wzniosłymi przykładami Niemcy w Galicyi podnoszą coraz wyżej głowę, nawet kiedy biadają na „ucisk“ ze strony Polaków. W dwutygodniku *Deutsches Volksblatt für Galizien* opisuje jakiś Niemiaszek swój pobyt agitacyjny w miasteczku P., w którem przebywał kolega jego szkolny. Obaj uczęszczali do jednej ze szkół... lwowskich. Niemiaszek tem bardziej pragnął odwiedzić kolegę, że był to zarazem prezes miejscowej grupy związku wszechniemieckiego. Niestety serce Niemiaszka zalało się goryczą — właściwie nie serce, tylko wątroba, nabrzmiała z piwa. Na drzwiach pomieszkania kolegi-prezesa widniał napis: „Ignacy Sznajder, inżynier c. k. kolei państwowej“. Piękny prezes grupy wszechniemieckiej.

Ale Niemiaszek nie traci animuszu i wpuszczony do pomieszkania, rozpoczyna agitacyę. Ignacy Sznajder zapewnia, że w miasteczku P. wszyscy Niemcy są wierni sprawie wszechniemieckiej, ale zaraz potem rzekł do córki: „Ludwisiu, powiedz mamie, że przyszedł stary przyjaciel“. Oburzony Niemiaszek strofuje przyjaciela i prezesa miejscowych Niemców za polską rozmowę z dziećmi, ale prezes, pan Ignacy Sznajder odpowiada: „A cóż mam robić? Dzieci uczęszczają do polskiej szkoły, gdyż niemieckiej tutaj nie mamy“. Niemiaszek wypalił kazanie panu Sznajdrowi, dowodząc, że powinien w domu rozmawiać tylko po niemiecku, a zwłaszcza usunąć z drzwi pomieszkania polski napis. P. Sznajder, jak zapewnia ów Niemiaszek, przyrzekł poprawę.

Czy ów pan Sznajder, o ile naprawdę istnieje, poprawi się, nie wiemy naturalnie, jeżeliby jednakże poprawa nastąpiła, to niech p. Sznajder umieści sobie na drzwiach niemiecki napis, ale gdzieś tam w Austryi górnej, albo w Tyrolu. Tam jest *k. k Staatsbahn* i tam także miejsce dla niemieckich urzędników. My ich tutaj pomiędzy nami nie potrzebujemy. Są to intruzi, roszczący sobie prawo do roli gospodarza. Niechaj sobie idą do Berlina, gdzie będą mogli podziwiać gwardyę pruską i brać od niej lekcye zapału i patryotyzmu.

Jednakże są jeszcze uczciwi Słowianie, jak zapewnia wymieniony dwutygodnik wszechniemiecki, unikający o ile możności wyrazu: Polak. Owego uczciwego „Słowianina“ odkryło piśmidło niemieckie... w Warszawie i to w redakcyi *Nowej Gazety*. Mianowicie z *Nowej Gazety* zacytował organ Niemców w Galicyi następujące wiekopomne zapewnienie: „Nie chcę wojny z Niemcami, ponieważ jesteśmy słabi i zostalibyśmy może zupełnie rozbici. Nie mogę ukryć mojego szacunku dla rasy germańskiej, a to dlatego, że w ostatniem tysiącleciu była zagrożona przez Słowian, Turków, Węgrów, Mongołów, a wszystkich odparła należycie. W tym kierunku zazdroszczę Niemcom. Były czasy, gdy Bóg dał Słowianom niegorsze warunki, niż Niemcom. Jeżeli zaś państwa słowiańskie jedno po drugiem zaraz po swojem założeniu rozsypały się w gruzy, to okoliczność ta nie świadczy o nich dobrze. Jeżeli Słowianie umieją tylko biadać, to dlaczegoż mamy Niemcom przypisywać winę naszych nieszczęść?“

Paradna historyozofia. Autor jej nie zna dziejów nawet w najogólniejszym zarysie. Germanie po czasach rzymskich zawsze występowali zaczepnie na wszystkie strony, zwłaszcza na wschód. Nawet kiedy się musieli bronić, to wyłącznie pra wie przeciwko odwetom za poprzednie napady. A kiedyż to Niemcy „odpierali należycie Mongołów i Turków“? Czy może pod Wiedniem? Albo może na wschodnich kresach rzeczypospolitej polskiej? Każdy gimnazyasta rzeczy te zna dokładnie, tylko *Nowa Gazeta* nie chce o nich nic wiedzieć, za co *Deutsches Volksblatt* dał jej patent na „uczciwego Słowianina“. Nie zazdroszczę.

Ale, o ile mnie się zdaje, nie trudno wyszukać źródła historyozofii „uczciwego Słowianina“. Jeżeli Bolesław Prus wymyśla w swoich „Kronikach“ Polakom, a wynosi pod niebiosa Niemców, to dlaczegoż niema tego uczynić współpracownik *Nowej Gazety*. Takie to efektowne — prawie jak... „Sardanapal“.

Oto maczam pióro, pochylam się nad cierpliwym papierem i spisuję grzechy mojego narodu. „Jesteście i byliście moi ziomkowie zawsze krety nami, niedołęgami, ludźmi drugiej klasy. Natomiast Niemcy, to rasa nadludzi, posiadająca wszechstronne zalety i niebotyczne zasługi. Niemcy mogą was uciskać, dławić, niszczyć — to wasza wina, a ich przywilej“. Czyż to nie efektowne? Wszyscy powiadają: „czarne“, a ja twierdzę: „czerwone“. To się zdarza wyjątkowo geniuszom, ale współpracownik *Nowej Gazety*, ów „uczciwy Słowianin“, geniuszem nie jest. I jeszcze jedna rzecz. Rzymianie powiadali: *si duo faciunt idem, non est idem*, a także *quod licet Jovi, non licet bovi*. Trochę to drastyczne, ale prawdziwe: „co wolno Jowiszowi, nie wolno uczciwemu Słowianinowi“.

Bolesław Prus jako autor położył około literatury polskiej takie zasługi, że każdy Polak przebaczy mu jego historyozofię, ale „uczciwy Słowianin“ nie może liczyć na żadne łagodzące okoliczności. Chyba, gdyby się chciał zgodzić na łagodzące okoliczności z dziedziny... psychiatrycznej? To dzisiaj takie jest modne, a prawie tak efektowne jak wymyślanie Polakom, a kadzenie Niemcom. Dalibóg.

Naostatek nieco o... miłości. Wszędzie idzie najpierw teorya, a potem praktyka, w miłości jest odwrotnie: kiedy człowieka nie stać już na praktykę, zaczyna zajmować się teoryą. Posądza mnie o to widocznie pewien mój znajomy, który przysłał mi książkę francuską p. t. „Podbój kobiety“, napisaną przez Maurycego Magre'a. Znajomy mój czytał widocznie tę książkę bardzo uważnie, gdyż na marginesie spisał pełno uwag. Jeden ustęp był zakreślony podwójnie czerwonym ołówkiem. Odczytałem go natychmiast i streszczam dla Czytelników niniejszej kroniki.

Otóż p. Magre powiada, że trudniej podbić kobietę brzydką, niż piękną. Kobieta brzydka czekać musi długo na podbój, a przez ten czas gromadzi takie zapasy cnoty, że staje się niezdobytą. Natomiast piękna już czasem ulega w pierwszej walce, mówiąc sobie z fatalistyczną wiarą, że ją taki los nie dziś, to jutro spotka. Czy tak moje panie? Czekam na odpowiedź, a ponieważ niema brzydkich kobiet, więc niechaj odpowiadają piękne. Odpowiedzi przyjmę bardzo chętnie – zwłaszcza... ustne.

h. j—e.

Hygieniczne śmieciarki.

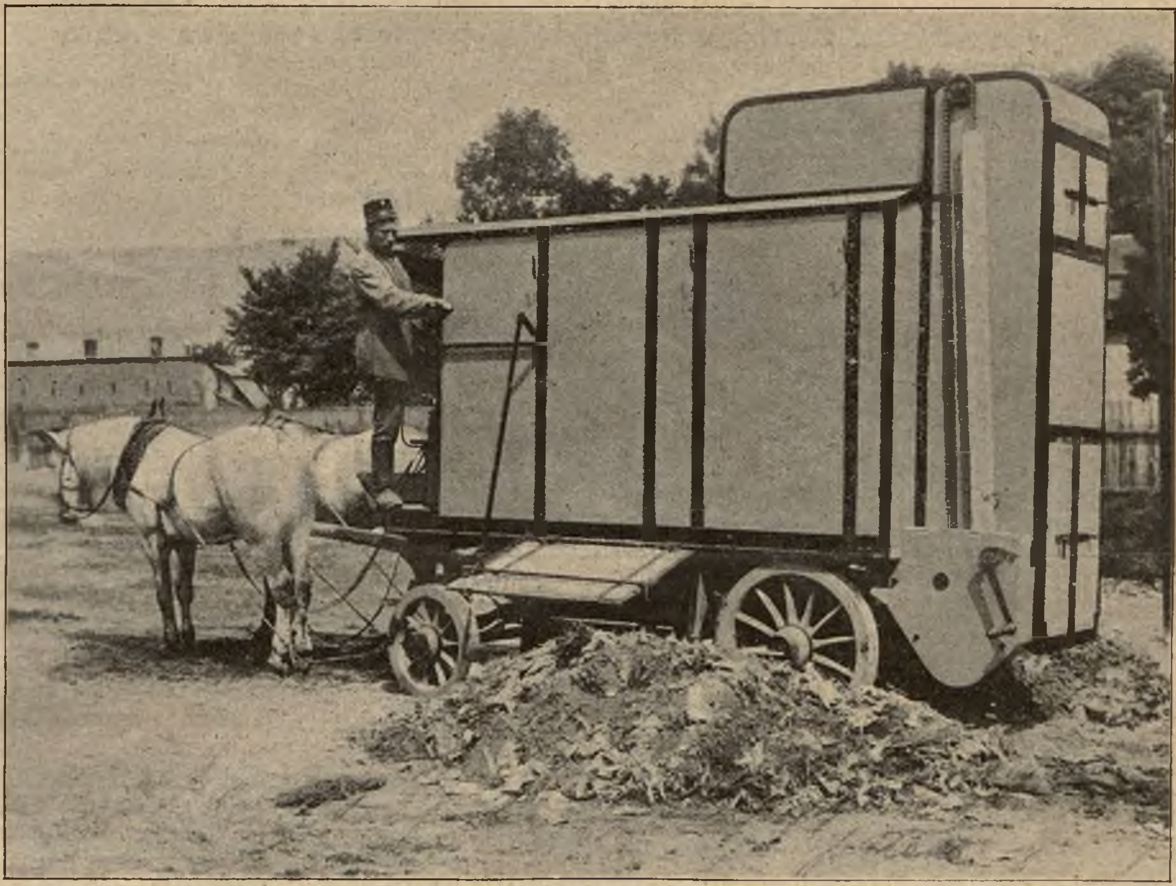
Kto zmuszony jest przebywać w mieście, ten wie, ile zmartwienia, szczególniej naszym gospodyniom, starającym się o czystość mieszkania, sprawia wywożenie z ulic śmieci i popiołu. Tumany kurzu unoszą się wtedy w powietrzu i zanieczyszczają je, co bardzo szkodliwie oddziaływa na zdrowie przechodniów, suknie przechodni, na zewnętrzną czystość samej ulicy i sąsiednich domostw.

Aby temu zapobiedz skonstruował znany przemysłowiec krakowski, pan Józef Górecki, który już niejednokrotnie dał się poznać w tym kierunku jako pomysłowy projektodawca, specyalny wóz hygieniczny, służący do tego celu. Wóz ten może być poruszany siłą koni lub sposobem automobilowym, do obsługi jego wystarczy zaś jeden człowiek.

Wóz składa się ze szczelnej komory na śmiecie i z zamkniętego w tyle wozu kanału, służącego do wyciągania skrzynek ze zmiotkami. Ładowanie skrzynek ze śmieciami odbywa się zapomocą pociągnięcia łańcucha i zewnątrz umieszczonego, bardzo pojedynczego mechanizmu. Cała manipulacya, którą wykonać może jeden człowiek, wymaga około 30 sekund czasu, a tylny kanał jest tak szczelnie zamknięty, że podczas wyładowywania najmniejszy nawet pyłek nie może wydobyć się na zewnątrz. Po bokach skrzyni głównej znajdują się dwa szczelne wysypy, które ułatwiają wypróżnienie wozu.

Wóz ten podczas próby pomieścił 50 stolitrowych skrzynek śmieci, czyli 5 mtr. kubicznych, do wywiezienia których potrzebaby trzech zwykłych wozów drewnianych. Waga śmieci wynosiła około 3500 kgr., jednakowoż para silnych koni mogła z łatwością wóz pociągnąć, gdyż ciężar wozu rozmieszczono równomiernie z matematyczną ścisłością. Przy zastosowaniu poruszenia automobilowego, ładunek wozu może być jeszcze większy. Dla pociągu konnego wykonuje fabryka p. Góreckiego wozy o pojemności 3 m. kubicznych, by nawet słabsze konie mogły wóz z łatwością uciągnąć.

Pomysł tego wozu, przeznaczonego dla Wiednia i Lwowa, a wykonanego w krajowej fabryce, opatentowany został w całej Europie. Ze swej strony musimy podnieść z uznaniem starania p. Góreckiego, który stworzył nowy system hygienicznego wywożenia popiołu i zmiotków.



Hygieniczne śmieciarki: Wóz »Hygenosta« w chwili wyrzucania zmiotków.

Międzynarodowe wyścigi kolarskie we Lwowie.

Ruchliwy lwowski klub cyklistów i motorzystów urządził na swym znakomitym torze za rogatką stryjską trzydniowe międzynarodowe wyścigi cyklistów i motorzystów, zapraszając do udziału w nim i jeźdźców zagranicznych.

Wyścigi powiodły się doskonale, a zgromadziły prócz wyścigowców polskich ze Lwowa, Krakowa i Warszawy także pokaźny zastęp gości obcych, między tymi kilku znakomitych cyklistów z Węgier.

Przez trzy dni trwały zapasy, a mianowicie w dniu pierwszym i trzecim, w niedzielę i wtorek wyścigi zwyczajne, w poniedziałek zaś odbyły się próby pobicia rozmaitych rekordów, postawionych przez najlepszych cyklistów i motorzystów na torze lwowskim.

Udział publiczności był każdego dnia bardzo liczny, dzięki pięknej pogodzie, która dopisała cały czas.



Międzynarodowe wyścigi kolarskie we Lwowie: Grupa motorzystów, uczestniczących w wyścigach. Fot. M. Münz, Lwów.

Znamienny wybór we Lwowie.

Znamienny wybór dokonany został w poniedziałek ubiegłego tygodnia w stolicy kraju. Do walki o opróżniony skutkiem śmierci posła dra Małachowskiego mandat z pierwszego okręgu wy-



Międzynarodowe wyścigi kolarskie we Lwowie: Grupa cyklistów, uczestniczących w wyścigach. Fot. M. Münz, Lwów.

borczego, stanęli dwaj kandydaci. Z jednej strony prof. dr. Gustaw Roszkowski, Polak, były poseł, człowiek wielkich zdolności i głębokiej wiedzy, wytrawny polityk i znakomity mowca, z drugiej re-



Znamienny wybór we Lwowie: Prof. dr. Gustaw Roszkowski.

daktor Mikołaj Hankiewicz, socyalista ukraiński i jako Ukrainiec sięgający po mandat z polskiego miasta. A że agitacya socyalistów, Rusinów i syonistów była namiętna i nie przebierała w środkach, więc niebezpieczeństwo było groźne.

Zwyciężył jednak prof. Roszkowski, około którego skupiło się całe polskie obywatelstwo Lwowa. Nie mogło ono dopuścić do tego, by mandat ze Lwowa dostał się w ręce niepolskie, by Lwów wysłał jako jednego ze swych reprezentantów człowieka osobiście niewątpliwie sympatycznego, ale zasadniczego przeciwnika Koła polskiego.

Wobec też niebezpieczeństwa, jakie groziło narodowej kandydaturze prof. Roszkowskiego, ucichły we Lwowie bodaj na krótki czas akcyi przedwyborczej spory i walki partyjne i wszystkie polskie stronnictwa, bez względu na odcienia polityczne, poparły zgodnie zagrożoną kandydaturę.

Zwycięstwo wobec tego nie mogło być wątpliwe. Przypadło ono prof. Roszkowskiemu, w którym Koło polskie zyskuje dzielną i doświadczoną siłę.

Zgon zasłużonego dziennikarza.

Po długich cierpieniach nieuleczalnej choroby zmarł przed kilku dniami we Lwowie ś. p. Klemens Kołakowski, postać wśród polskiego świata dziennikarskiego bardzo wybitna i jedna z najsympatyczniejszych, człowiek wielkich zalet i wielkich zasług w społeczeństwie.

Syn powstańca, wzrastał od dziecka w atmosferze gorącej miłości ojczyzny, która też cechowała później całą jego działalność publiczną. Działalność tę rozpoczął w młodym wieku, obejmując zaraz po ukończeniu uniwersytetu kierownictwo *Gazety Polskiej* w Czerniowcach. Wysoce utalentowany i wykształcony, pełen zapału i energii, czasopismo to postawił na bardzo wysokim poziomie. Nie to jednak było głównym tytułem do zasługi. Bo ś. p. Kołakowski należał do ludzi, którzy nie tylko piórem, ale przedewszystkiem czynem służyli sprawie narodowej. Postawiony na placówce kresowej, pracował z niesłabnącym zapałem i wytrwałością nad budzeniem ideałów narodowych i poczucia polskości wśród licznej polonii bukowińskiej. I śmiało można powiedzieć, iż wydatny rozwój życia narodowego Polaków na Bukowinie, to zasługa ś. p. Kołakowskiego. Powstanie „Sokoła“, „Czytelni polskiej“, „Domu polskiego“ i całego szeregu innych stowarzyszeń polskich w Czerniowcach i na prowincyi, wiąże się bardzo ściśle z imieniem tego dzielnego publicysty-działacza.

I kiedy z powodu nadwątlonego zdrowia opuścić musiał przed laty ośmiu Bukowinę i przenieść się do Lwowa, towarzyszył mu ogólny żal tych wszystkich, z którymi i dla których tam pracował.

We Lwowie nie zaznał atoli wywczasów, bo zaraz po przyjeździe zaprzągł się do ciężkiej pracy dziennikarskiej, jako współredaktor *Dziennika polskiego*, wolne zaś od niej chwile poświęcał zaję-



Zgon zasłużonego dziennikarza: Śp. Klemens Kołakowski.

ciom obywatelsko-społecznym. Wnet też zyskał i na nowym terenie wielką popularność i jeszcze większą sympatyę i uznanie.

Niestety nie było mu danem długo na ukochanej niwie pracować, bo już po paru latach choroba nerwowa uczyniła tak znaczne postępy, iż musiał się usunąć zupełnie od wszelkich zajęć. Śmierć przyniosła mu wytchnienie i odpoczynek.

Cześć Jego pamięci!

Z lwowskiego bruku.

(Początek sezonu. — Wybory i ich wynik. — Cicho, jak w Naszym kraju. — Historya, rozwój i upadek Naszego kraju. — Sekretarz Zbierzchowski jako powtórny zabójca. — Żal po stracie. — Scisk w tynglu. — Teatr. — Słowackiego ruchy w grobie. — Nieliteracka historya z literatury czyli potrójny czepek Makuszyńskiego).

Jesteśmy już wszyscy w kupie. Lwów wrócił do Lwowa, czyli przyszedł do siebie, czyli jest już taki brudny, przepełniony i zapowietrzony, jak dawniej. Tylko, że wszyscy, którzy wrócili, wyglądają znacznie lepiej, panie i panienki mają rumieńce i pewną ilość funtów więcej, a niektóre podlotki nawet wróciły do miasta z pierścionkiem zaręczynowym.

Głównie ożywiło się miasto z powodu poniedziałkowych wyborów, które zakończyły się wyborem profesora Roszkowskiego, a które dały sposobność do kilku wesołych zgromadzeń, wesołych afiszów wyborczych, wesołych kalumnij i epizodów na rynku i naokoło rynku, jak zresztą zawsze podczas wyborów. Ale niestety była to tylko mała próbka, a nie właściwe wybory, dlatego przeszły względnie cicho, spokojnie, niemal bez większego echa. Do tego policya tak bardzo strzegła wejścia do ratusza, że nie wpuszczała nawet posłów, nawet reporterów, nawet tych z aparatami fotograficznymi, co wywołało powszechne oburzenie w odnośnej redakcyi.

Dziś na polu wyborczem tak cicho, jak na pobojowisku, jak na odludnym cmentarzu, jak w salonach redakcyjnych *Naszego kraju*, który w tym tygodniu zakończył swój bogaty w odmiany i urozmaicenia żywot, wystawiwszy sobie nagrobek ze skromnym napisem: „Spokój naszym nożycom“.

Nasz kraj nie miał szczęścia już od urodzenia. Urodził się bowiem jako rachityczny bastard aż z dwóch ojców i jednej matki. Ojcami jego byli panowie Laskownicki i Hałaciński, matką zaś mu była potrzeba nie tyle literacko-dziennikarska, ile finansowa. Ochrzcili go odrazu skromnie tygodnikiem literacko-artystycznym i dodali jeszcze skromniej, że jest jedynym i największym w Polsce. Wobec tego nikt go nie czytał, a tem mniej prenumerował. Wobec tego robiono długi. Wobec tego długów zebrało się bardzo wiele i nie można ich było płacić. Wobec tego puszczono go na bęben, aby uratować firmę. Wobec tego kupiło go konsorcyum z pp. Wydźgą i Pawlikowskim na czele i przerobiono go na modernistyczno-impresyonistyczno-dekadencko-artystyczno-demoniczno-idyotyczne pismo, które wobec tego czytało jeszcze mniej ludzi, bo oprócz autorów, zecerów i korrektora, nikt go nie czytał.

Cytelnicy czekali z początku cierpliwie, czy redakcya będzie dopłacać, bo słyszano, że bogate konsorcyum chce za każdą cenę rozszerzyć tę starą nowość, ale kiedy się pokazało, że to tylko plotka, zaczęto zwracać numery do redakcyi z zakazem dalszego nasyłania numerów na spokojne domy obywatelskie. Trzeba tu dodać, że w pierwszej swojej fazie miał *Nasz kraj* sekretarza w osobie czcigodnego p. Henryka Zbierzchowskiego, znanego z wyrobu wierszy, humoresek, a ostatnio powieści. Następnie, kiedy po kompletnem bankructwie pierwszej redakcyi, przyszła nowa, ta mądrzejsza, znowu popełniła ten sam błąd nie do przebaczenia i znów zamianowała sekretarzem p. Zbierzchowskiego. Wobec tego po miesiącu zachorował *Nasz kraj* na zupełny zanik abonentów i gdy już leżał w agonii, dawni dobrodzieje zwrócili się znów do swego dziecka naturalnego, znów go przerobili, podcięli mu skrzydła, obcięli włosy długie i pazurki, zrobili mu fryzurę kelnerską, aby mu otworzyć wstęp do kawiarń i zrobili z niego tygodnik „popularny“. Ale publiczność już pamiętała co to za *Nasz kraj* i nie wierzyła ani afiszom, ani gęstym notatkom *Wieku nowego*, ani kolporterom — nikt go nie chciał brać do rąk. Nie wiem, czy w tej trzeciej, przedśmiertnej fazie sekretarzował mu znowu p. Zbierzchowski, ale miało to pewnie miejsce, skoro biedny *Nasz kraj*, nieżałowany i nieczytany przez nikogo, onegdaj wypuścił ostatni swój oddech z drukarni, a na drugi numer nadarmo czekali — wierzyciele. Natomiast nie jest prawdą, jakoby wydawcy chcieli jeszcze raz spróbować szczęścia i wydawać go dalej na próbę jako tygodnik humorystyczny, co mogło nastąpić nawet przy tej samej treści.

Tak więc zginął marnie największy i najmądrzejszy, potem najciekawszy i najartystyczniejszy, nareszcie najprzystępniejszy i najpopularniejszy tygodnik lwowski śp. *Nasz kraj*, pozostawiwszy po sobie niezapomnianą pamięć u swoich rodziców, oraz w żalu nieutulonych wierzycieli bez nadziei.

Poza tem mało co nowego. W teatrze jeszcze nie byłem, Filharmonii w tym roku (nareszcie!) nie będzie, Colosseum niema, Olimpia zamknięta, a jedyny tyngel jest tak przepełniony co wieczór, że nawet się dopchać nie można do — śpiewaczek, budzących szacunek swoim wielkim i siwym włosem pod blond peruką.

Teatr rozpoczął operetką, dramatem i operą równocześnie — *chacun a son gout...* podając atoli same stare sztuczki ze wszystkich trzech rodzajów. W sobotę nowość: Słowackiego „Złota czaszka“. Znawcy zapowiadają, że Słowacki obróci się w grobie w sobotę wieczór, ale według starej anegdoty po drugiem przedstawieniu tego utworu, obróci się po raz drugi w grobie i będzie znów leżał w porządku.

Skoro więc co do naszego poety i jego pośmiertnej pozycyi możemy być spokojni, czekamy jeszcze, co powiedzą lwowscy augurowie dziennikarscy o tem przedstawieniu klasycznem, chociaż mówić o recenzentach we Lwowie jest to samo, co mówić o porcie, o morzu we Lwowie itp. rzeczach, których niema.

Jeden z nich, p. Kornel Makuszyński doprowadził swojemi recenzyami tak dalece, że w tym tygodniu ożenił się z przystojną i bardzo posażną Żmudzianką w Warszawie i wyjeżdża do Paryża robić — w literaturze oraz dalej się kształcić. *Słowo polskie* dało mu prócz błogosławieństwa na drogę, całoroczny, *płatny* urlop. To się nazywa historya wcale nie dziennikarska i wcale nie literacka, bo w literaturze i dziennikarstwie nie zdarzają się ani takie posagi, ani takie urlopy.

Trzeba się właśnie urodzić w potrójnym czepku — psiakość!

(* * *).

Krakowski Arsen Lupin.

Jeszcze nie przebrzmiało w Galicyi nazwisko Wasińskiego i jego towarzyszy, gdy znowu na horyzont „kryminalny“ wypłynęła nowa gwiazda i to pierwszorzędnej wielkości i siły. Bohaterem „od wytrychu“ jest w tym wypadku „głupi Jaś“, noszący po swej rodzicielce, gdyż ojca nie zna, nazwisko rodowe Gwizdak, które z czasem w ciągu swej złodziejskiej karyery zmieniał kolejno to na Jana Malinowskiego lokaja, to Mieczysława Kułakowskiego technika, wreszcie Jana Kazimierza Bodyńskiego, słuchacza filozofii. Już Janowi Malinowskiemu poślizgnęła się noga i za kradzież sreber we dworach Galicyi wschodniej dostał się pod klucz.



Krakowski Arsen Lupin: »Głupi Jaś« Gwizdak, false Jan Kazimierz Bodyński, »akademik«.

Po sześcioletniem uzupełnieniu studyów kryminalnych w akademii wiśnickiej wypłynął na widownię odrodzony na duchu Jan Kazimierz Bodyński, który osiadłszy w Krakowie na Dębnikach, umiał swem eleganckiem znalezieniem i firmą akademicką wkręcić się w najinteligentniejsze sfery Krakowa, co nie przeszkadzało mu w dalszych „operacyach“, a stanowiło dobrą osłonę przed krakowską policyą.

Ostatnie kradzieże sezonowe w Krakowie, jak również kilka niewykrytych dotąd większych kradzieży kosztowności np. u Krengla, sprawiały krakowskiej policyi wiele zmartwienia, to też nasi Sherlockowie wytężali swe zdolności, aby wpaść na trop zbrodniarza, który tymczasem spokojnie mieszkał na Dębnikach, skąd przedsiębrał częste wycieczki po całej Galicyi.

Tymczasem powinęła mu się noga i w Czeżowicach, pod Mościskami, w domu swej narzeczonej, został uwięziony przez ajenta policyi krakowskiej p. Karcza, a następnie odstawiony do sądu karnego, wraz ze swą „Dulcyneą“.



Hygieniczne śmieciarki: Wóz »Hygenosta« w czasie zbierania zmiotków.

U wrót śmierci

Powieść wysnuta z aktów paryskiego archiwum karnego,

przez M. Level'a

10 Ciąg dalszy.

Komisarz wziął do ręki trzy białe kartki i przeczytał:

Pan 22 E. V. esi ca de

Wzruszył ramionami:

— To nic... niema to najmniejszego znaczenia. cóż można odgadnąć z tych kilku niekompletnych sylab.

— Może nie jest to nic wielkiego, lecz kto wie?... gdyby to można znaleść resztę!... Wydają mi się te kawałki podartą kopertą, na nieszczęście jednak niekompletną. Składając je razem w pewnym porządku, wychodzi coś w rodzaju adresu:

„Pan — 22 — ca de — E. V.“

Pozostaje „esi“, co może być tak częścią nazwy ulicy, jak i nazwiska adresata. W każdym razie możemy być pewni, że ten ktoś mieszka pod numerem 22, ulica de... a to może uprościć poszukiwania.

— Powodzenia — odparł, śmiejąc się komisarz.

Nie zrażony tym śmiechem, obracał ajent na wszystkie strony te kartki, wąchał je, przypatrywał się im pod światło, nagle zawołał:

— Ależ tak!... Ależ tak!... proszę teraz popatrzeć. Przyglądaliśmy się z jednej tylko strony, a papier złożony jest we dwoje... na odwrotnej stronie, na jednej kartce:

„nieznany pod numerem 22“
na drugiej: „szukać pod 16“.

A oto połowa marki pocztowej z pieczęcią, na której widać wyraźnie: 08, ponieważ mamy obecnie dopiero styczeń, było więc to pisane niedawno. Ja tego nie porzucę. Pan komisarz niech robi jak chce, sądzę jednak, iż opłaci się poszukać nieznajomego z ulicy de..., z pod numeru 16.

— Niech pan szuka dowoli... zapewniam jednak, iż nic pan z tego nie odkryje, chyba nic nieznaczące szczególiki o znajomościach zamordowanego... możemy już iść stąd.

I komisarz wyszedł z ajentem. Na ulicy tłoczyło się jak zwykle przy pojawieniu policyi wielu ciekawych. Fotograf jakiś robił zdjęcie z domu. Gdy komisarz wchodził do dorożki, zwrócił się do niego:

— Jedną chwilkę panie komisarzu... Tak, dziękuję już.

— Czy mój portret sprawi panu przyjemność, zainteresuje pańskich czytelników?... Dla jakiego dziennika pan mnie przeznacza?

— Do *Sztandaru*, który pierwszy...

— Wiem, wiem — odezwał się komisarz — mógłby pan zwrócić uwagę w redakcyi... a zresztą nie warto, niech pan nic nie mówi.

VI.

Dzień cały minął monotonnie tak dla policyi, jak i Coche'a. Sprawa ta, której ciekawość publiczna nadawała z godziny na godzinę coraz większe rozmiary, nie posunęła się naprzód ani krokiem. Oprócz nazwiska zamordowanego i samotności, w jakiej stale przebywał, nic ponadto nie wiedziano.

Coche denerwował się coraz bardziej oczekiwaniem. Chciał jednocześnie przyspieszyć wypadki, a zarazem i powstrzymać ich bieg. Począł zdawać sobie sprawę z tego strasznego zamieszania w swem życiu, jakie sam wywołał, zwłaszcza że rezultaty tego pomysłu przedstawiały się od pewnego czasu w coraz gorszem świetle. Na razie jedynym skutkiem tego wszystkiego było włóczenie się po ulicach, w ciągłej obawie aresztowania, jakby był rzeczywiście zbrodniarzem. Sama myśl tylko, iż lada chwila mogą go uwięzić, przejmowała go strachem.

Samotność zupełna, w jakiej przebywał przez te dwa dni, odjęła mu całą energię, niezrównany spryt, które czyniły z niego pierwszorzędnego reportera. By działać, musiał czuć na sobie wpływ otoczenia, upajać się słowami, dyskusyą, walką, nieustającym ruchem. Obecnie zmieszany z tłumem, ocierając się na każdym kroku o nieznajomych, ciągle samotny, nie odzywając się do nikogo ani słowem, głos swój słysząc tylko w restauracyi przy wybieraniu potraw, choć wolny jeszcze, był już jak w więzieniu.

Koło godziny piątej zatelefonował do redakcyi. Z początku odpowiedziano mu, że numer ten zajęty, po chwili zadzwonił znowu, lecz linia jeszcze była wolna. Ze słuchawki dochodziły go tylko jakieś niewyraźne, pomieszane resztki rozmów. Nagle w tym bezustannym szmerze głosów ludzkich usłyszał, jak ktoś żądał połączenia ze *Sztandarem*.

Przyłożył szybko usta do tuby i zaprotestował:

— Przepraszam, ja żądałem wcześniej...

— Żałuję bardzo, lecz już połączono.

— O, tego już za wiele! — irytował się Coche. Hallo! proszę pani.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NADESŁANE.

Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności).

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył J. Januszewski.

Hen, na północy, leży pierwsza, czwarta,
Piąta i trzecia dużo w śpiewie warta,
Niezdrowym na umyśle jest trzeci i wtóry,
Czwartej i trzeciej mieszkaniem są góry,
Lecz nie Karpaty, ani też nie Alpy,
Ale te kraje, gdzie zdzierano skalpy,
W drugiej wstecz poznasz złego Ewy syna.
Gdy się zmartwienie w moją duszę wcina,
Otwieram dla całości ust moich podwoje,
Bo całość to dwa smaczne, a cenne napoje.

Kwadrat magiczny.

Ułożył L. W. Kraków.

Litery tak poprzestawiać, aby utworzyły w pionowym i poziomym kierunku jednobrzmiące wyrazy.

a	a	a	a	a
a	c	e	e	e
e	m	m	n	n
o	o	r	r	r
t	t	t	z	z

Znaczenie wyrazów: 1. Sławny wódz rzymski. 2. Jedna z dziewięciu muz. 3. Spójnik. 4. Bogini grecka. 5. Imię męskie.

Logogryf.

Ułożył J. Szał.

Z następujących sylab: a, a, a, au, czer, da, de, dzi, ja, jak, ka, ka, ka, karp, kut, laj, li. lja, ma, ny, po, za, stra, wiec, wiłt, zon, żów — ułożyć należy dziewięć wyrazów, których początkowe i końcowe litery czytane z góry na dół utworzą znane przysłowie.

Znaczenie wyrazów: 1. Mieszkaniec Syberyi. 2. Imię żeńskie. 3. Nazwa łódki. 4. Rzeka. 5. Imię męskie. 6. Znane nazwisko polskie. 7. Nazwa wódki. 8. Nazwa miesiąca. 9. Część świata.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania ks. Stefana Pawlickiego: **»Żywot i dzieła Ernesta Renana«**, 2 tomy.

Rozwiązanie zagadek z Nru 35

Szarada.

Romans, roman, amor.

Zadanie konikowe.

Stare i doświadczone przysłowie powiada:
Kto pod kim dołki kopie, sam w nie zwykle wpada.

Zagadka sylabowa.

Franciszek Józef cesarz Austryi.

Kwadrat magiczny.

Hamak, Agata, mason, atoli, Kanin.

Logogryf.

Z uczynku nie ze słów dobrego poznają.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: J. Badura Rożdzień, F. Gebbrandt Kraków, J. Planecki Warszawa, L. Garfunkel Zwierzyniec, M. Opolska Czarny Dunajec, D. Sabat. Słoboda Rungurska, J. Wielgus Wadowice, K. Fuchs Czeremchów, J. Januszewski Podgórze, Z. Friedmann Lwów, J. Iwanec Lwów, K. Radziszewski Kamionka, O. Rohatyn Stanisławów, Z. Ostaszewski Katowice, St. Lebedowski Szczakowa, R. Mayerberg Kraków, J. Antosz Kraków. Z. Gruszczyńska Czarna wieś, K. Korski Lwów, J. Barnat Rzeszów, St. Bukała Rzeszów, S. Lindenbaum Lwów, A. Górkowa Chyrów, Z. Trzeciak Ustrzyki, D Gartenberg Czerniowce, R. Langer Czerniowce, St Bukowski Maryampol, M. Fuchs Kraków, R. Jaworski Kraków, J. Darocha Lisko, J. Możdżeński Wiedeń, H. Kijeńska Łódź, A. Woyde Warszawa, Z. Wojtkowska Tarnopol, D. Eber Kraków, O. Thorn Podgórze, St. Kazimirski Lipnica, J. Szymborski Warszawa, E. Katarzyńska Lwów, J, Nowicki Włocławek, St. Flaszczyński Rzeszów, K. Zamorski Lwów, E. Lipski Podwołoczyska, K. Osadziński Rozwadów, J. Kozicki Lwów. E. Libiszewski Warszawa.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. Z. Ostaszewski Katowice. Prosimy o nadesłanie 35 hal. na koszta przesyłki.

Głosy publiczne.

Sto koron znalezione! — zawołają wszyscy Ci, którzy przed poczynieniem zakupów na sezon jesienny i zimowy na podstawie dzisiejszego inseratu zażądają przysłania najzupełniej bezkosztownego kolekcyi próbek i illustrowanych wzorów mód od firmy: **Grand Magasin »Au Prix Fixe«,** Wiedeń I, Habsburgergasse 1/7.

Z parku krakowskiego. Teatr Rozmaitości w parku krakowskim wystąpił znowu z wspaniałym programem, który ściąga tłumy publiczności. Największej oklasków zbiera punkt, nazwany w programie »Arką Noego«, ponieważ występują tam równocześnie, w największej ze sobą żyjące zgodzie wszystkie zwierzęta, od domowych kur i kogutów zaczynając, a na również domowych szczurach kończąc. Wysoką artystyczną wartość posiadają produkcye wokalne kwartetu włoskiego, a do urozmaicenia programu przyczyniają się najrozmaitsze produkcye gimnastyczno akrobatyczne.

Ważną a pożądaną nowością jest zmiana **początku** przedstawień, który **od września** przesunięto na **godzinę 7 wieczorem,** tak że i z powrotem można dostać się do miasta tramwajem elektrycznym.